

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 26 stycznia 1907. Nr. 4.

Krwawy zatarg religijny.

(Treść na stronie 2).



Krwawy zatarg religijny.

(Do illustracyi tytułowej).

Po ogłoszeniu manifestu o wolności i tolerancyi religijnej w Rosyi, myślano, że takie wypadki, jak w Krożach, nie powtórzą się już nigdy. Przeczy temu świeże a krwawe zajście w miasteczku Zelwie w gubernii grodzieńskiej. W r. 1863 włościanie-katolicy zaczęli tam budować murowany kościół zamiast starego drewnianego, lecz z rozporządzenia Murawjewa doprowadzone już do połowy roboty przerwano, a odtąd przez 43 lata chłopi miejscowi napróżno starali się o odzyskanie zaczętej budowy. Nakoniec otrzymali pozwolenie na postawienie nowego kościoła, lecz na innem miejscu. Po ogłoszeniu tolerancyi religijnej znowu prosili o zwrot murów ich własnego kościoła, ale właśnie teraz — jak stwierdzają gazety wileńskie i warszawskie — duchowieństwo prawosławne zapragnęło skorzystać z zabranego katolikom kościoła i postanowiło wznieść w miasteczku drugą cerkiew murowaną, chociaż jedna bywa w niedzielę zazwyczaj pusta, tak bowiem nieliczną jest parafia prawosławna w Zelwie. Żeby przeszkodzić katolikom w rozpoczętych staraniach, duchowieństwo zawiadomiło władzę, że katolicy posiadają w Zelwie nowy stały kościół, chociaż naprawdę jest tam tylko kaplica z desek sklecona. Delegatom wysłanym do Petersburga obiecano przysłanie komisyi na miejsce. Wtedy paroch tamtejszy chcąc dowieść, że materyał na budowę cerkwi już dawno jest przygotowany, nakazał prawosławnym włościanom zwózkę kamieni. Katolicy postanowili nie pozwolić na gromadzenie materyałów do czasu przybycia komisyi i zebrali się 2 stycznia koło swego niegdyś niedokończonego kościoła. Wezwani przez parocha konni i piesi strażnicy pod przewodnictwem zwolnionego ze służby kwartalnego komisarza Komarewicza, widząc że tłum odpędza pierwszą furmankę i nie chce ustąpić, cofnęli się o 50 kroków i dali salwę do tłumu. Bezbronni zaczęli pierzchać w różne strony, strażnicy jednak dali jeszcze kilka salw do uciekajacych. Na miejscu pozostali liczni ranni, a było i kilku zabitych. Z policyi nikt jednak nie poniósł szwanku.

Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu dokonano wyboru nowego prezydyum krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej. Posiedzenie w obecności pana delegata Fedorowicza, jako komisarza rządowego, zagaił przewodniczący, wiceprezes Izby, p. Jan Götz-Okocimski. Zaznaczył on, że da zapewne wyraz zapatrywaniu Izby, jeżeli podziękuje długoletniemu prezydentowi krakowskiej Izby handlowej i przemysłowej, radcy cesarskiemu, Albertowi Mendelsburgowi, który z dniem 15 października r. z. złożył swoje obowiązki. Mowca podniósł zasługi p. Mendelsburga jako prezesa i wskazał, że przewodniczył on długie lata Izbie wśród harmonii, jaka zawsze w niej panowała i jaka należy dziś do najpiękniejszej części jej tradycyi. Obowiązki swe wypełniał ustępujący dziś prezes z wielką gorliwością i sumiennością, a postępowaniem swem pozyskał ogólny szacunek. Nakoniec złożył p. Götz przewodnictwo w ręce najstarszego wiekiem członka, radcy cesarskiego Henryka Schwarza i prosił o zarządzenie wyboru nowego prezydyum, mianowicie prezydenta i wiceprezydenta oraz delegata do prezydyum.



Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie: Nowy wiceprezydent, poseł Jan Federowicz.



Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie: Nowy prezydent, radca komercyalny Maurycy Datter.

Izba wybrała prezydentem radcę kamercyalnego, p. Maurycego Dattnera, dotychczasowego delegata do prezydyum Izby. Nowowybrany podziękował za wybór i prosił o poparcie w pracy tak ze strony p. delegata Fedorowicza, jak i członków Izby, zapewniając, że będzie się usilnie starał na tym ważnym dla handlu i przemysłu posterunku sumienną pracą i bezstronnem traktowaniem spraw Izby stać się godnym okazanego zaufania.



Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie: Ustępujący prezydent, radca ces. Albert Mendelsburg.

Następnie wybrała Izba wiceprezydentem posła Jana Federowicza, kupca i radcę miejskiego w Krakowie. Delegatem do prezydyum w miejsce p. Dattnera wybrano radcę kamercyalnego, p. Tadeusza Epsteina.

Po objęciu przewodnictwa przez nowego prezydenta, Izba załatwiła ważne wnioski w sprawie obciążenia produkcyi piwa i telefonów krakowskich, poczem przyjęła predłożony budżet, w którym przyznała szereg subwencyj na najrozmaitsze cele pożyteczne.

Zamieszczamy dziś fotografie ustępującego prezydenta, oraz członków nowego prezydyum.

Tu należy przypomnieć jeszcze parę dat z życia radcy Mendelsburga. Członkiem Izby handlowej został wybrany jeszcze w r. 1881, wiceprezesem w 18·5 r. i na tem stanowisku pozostał przez lat dwanaście do r. 1897, kiedy Izba wybrała go swym prezydentem. Stał więc na czele tej ważnej instytucyi krakowskiej przez pełnych lat dziesięć. Jednocześnie należał p. Albert Mendelsburg do pierwszych radnych miejskich, wybrany radcą krakowskim już przy pierwszych wyborach autonomicznych w r. 1866; godność tę z pożytkiem dla miasta piastuje po dzień dzisiejszy przez lat 40 bez przerwy. W r. 1873 wybrany został z Izby handlowej posłem do parlamentu, gdzie zasiadał przez sześć lat. W 1876 należał do wspólnej delegacyi w Budapeszcie. Oprócz tytułu radcy cesarskiego jest p. Mendelsburg kawalerem orderu ces. Franciszka Józefa i Żelaznej Korony trzeciej klasy.

Długoletni prezydent Izby ustępując w sędziwym wieku ze swego stanowiska, zyskał godnego następcę w radcy Dattnerze, po którym sfery handlowe i przemysłowe naszego miasta spodziewają się wiele. Nowowybrany prezydent zapewne nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.

Ubył człowiek zacny.

Stracił Lwów znowu jedną z najpopularniejszych swych postaci, człowieka otaczanego czcią i miłością, śp. Justyna Langa, którego portret załączamy. Chociaż w hierarchii społecznej zajmował skromne stanowisko urzędnika Tow. kredytowego ziemskiego oraz sekretarza lwowskiej Izby adwokackiej, należał jednak do ludzi bardzo wybitnych i bardzo zasłużonych.

Urodzony we Lwowie 1847 r. uczęszczał tam do szkół i ukończył wydział prawniczy uniwersytetu. Uzupełnieniem studyów był rok nauki w wiedeńskiej akademii handlowej. Po powrocie do Lwowa objął stanowisko sekretarza Izby adwokackiej a równocześnie wstąpił do Tow. kredytowego ziemskiego i w obu tych instytucyach pracował do ostatnich dni życia. Poza tem należał do najbardziej zasłużonych jednostek wśród Sokolstwa polskiego. Przyczynił się on do szybkiego doprowadzenia do skutku



Nowe prezydyum Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie: Delegat do prezydyum, radca komercyalny Tadeusz Epstein.

budowy własnego gmachu; jego usiłowaniom zawdzięcza też Sokół lwowski swe pierwsze wspaniałe boisko. Jako przyjaciel młodzieży, należał do inicyatorów „Związku rodzicielskiego“. I rzecz dziwna. Sam kaleka, przykładał niezmierną wagę



Ubył człowiek zacny: Radny miasta Lwowa, śp. Justyn Lang.

do fizycznego rozwoju młodego pokolenia. Organizował z młodzieńczym zapałem wycieczki, zabawy sportowe. Mistrzem był w grze w piłkę nożną i zamiłowanie do tej gry szerzył wśród młodzieży.

Wybitnem polem publicznej działalności śp. Justyna Langa była też lwowska Rada miejska, w której skład wchodził od r. 1892 aż do ostatnich dni, zajmując w niej poważne stanowisko. Popularność zdobył sobie udziałem w komisyach skrutacyjnych w których organizowaniu i kierownictwie był nieprześcignionym.

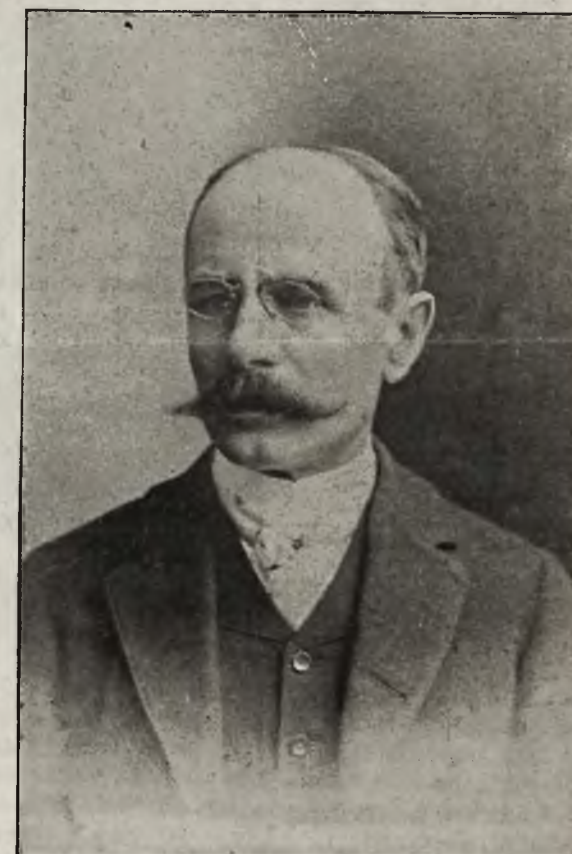
Cechowała dalej tego człowieka niespożyta energia, siła woli i pracowitość, wreszcie szczerość i otwartość w postępowaniu i bezwzględna prawdomówność. Mimo to, nie miał nieboszczyk wrogów, to też zgon jego przedwczesny wywował powszechny żal we Lwowie.

Nowy poseł sejmowy.

Opróżniony wskutek śmierci nieodżałowanej pamięci Mieczysława hr. Dunin-Borkowskiego mandat sejmowy z kuryi gmin wiejskich powiatu Borszczowskiego, został w ubiegłym tygodniu obsadzony.

Następcą śp. hr. Dunin-Borkowskiego został ordynat p. Tadeusz Czarkowski. Golejewski (dajemy tu jego portret), długoletni wice-marszałek powiatu, a obecnie jego marszałek, również jako następca śp. hr. Dunin-Borkowskiego. Mimo, iż kadencya sejmowa kończy się w bieżącym roku, walka o ten mandat była bardzo zaciętą, toczyła się bowiem między Polakiem a Rusinem. Ze strony ruskiej kandydował p. Hieronim Kalitowski, został jednak w nieznacznej mniejszości. Zwyciężył p. Czarkowski Golejewski, który w czasie dotychczasowej swej publicznej działalności okazał się mężem wielkiej energii i wybitnych zdolności, należy się tedy spodziewać, że sejm zyskał w nim siłę bardzo pożądaną, a powiat Borszczowski dzielnego orędownika swych spraw. Stosunek jego do ludu ruskiego jest też rękojmią, iż lud ten nie będzie miał powodu do niezadowolenia z wyniku wyborów, a przy najbliższych wyborach powierzy mu znowu zastępstwo swych interesów.

Obok zamieszczamy portret nowoobranego posła ordynata p. Czarkowskiego-Golejewskiego.



Fot. D. Mazur, Lwów.

Nowy poseł sejmowy: Ordynat Tadeusz Czarkowski-Golejewski.

Ludowcy przed wyborami.

W niedzielę 20 b. m. odbył się w Krakowie w hotelu Kleina zjazd Rady naczelnej ludowego stronnictwa, zwołany specyalnie w celu rozpatrzenia się w obecnej sytuacyi politycznej i omówienia programu wyborczego. Wzięło w nim udział 85 członków Rady naczelnej, oraz tylnż mężów zaufania z 47 powiatów politycznych w Galicyi, nadto wszyscy posłowie należący do stronnictwa. Obrady zagaił poseł Bojko, który w krótkich słowach skreślił ważność obecnej chwili, kiedy dla całych mas ludu otwiera się nowe pole działania, poczem przewodniczącym wybrano dr. Bernadzikowskiego. Główny punkt porządku dziennego stanowiły szczegółowe sprawozdania delegatów powiatowych o stanie ruchu ludowego w poszczególnych okręgach. Był to jakby przegląd sił, badanie pozycyi stronnictwa w obecnej chwili. Przemawiało 47 delegatów z 47 okręgów. Referat o obecnej sytuacyi politycznej wygłosił p. Bernadzikowski, o programie wyborczym stronnictwa mówił poseł Stapiński, który przedłożył odpowiednie rezolucye, uchwalone jednogłośnie. Wedle tych rezolucyi ludowcy stawiać będą swoich kandydatów we wszystkich okręgach, w których członkowie Rady naczelnej i mężowie zaufania dotyczącego okręgu uznają to za wskazane. Wybór kandydatów pozostawiono delegatom gmin poszczególnych okręgów. Delegaci wybierać będą kandydata na zgromadzeniu przez tajne głosowanie. Akcyą wyborczą kierować ma odrębny, główny zarząd wyborczy, do którego wybrano: posła Stapińskiego jako przewodniczącego, posłów Kubika i Olszewskiego jako zastępców przewodniczącego, dra Bardla i Franciszka Wójcika z Wyciąż jako sekretarzy. Omawiano również kwestyę solidarności



Fot. W. Lis w Krakowie.

Ludowcy w Krakowie: Wydział Rady naczelnej stronnictwa ludowców: 1. Krempa, 2. dr. Bernadzikowski, 3. Bojko, 4. Styła, 5. Olszewski, 6. Włodek, 7. dr. Bardel 8. Stapiński, 9. Bomba, 10. Bętkowski, 11. Wójcik.



Fot. W. Lis.
»Jordan« w Krakowie: Procesya z cerkwi na plantach.

uroczystości Jordanu we Lwowie i w Przemyślu. Tym razem podajemy dwa fragmenty podobnego obchodu w Krakowie, gdzie Jordan odbywa się jedynie w skromnych rozmiarach ze względu na małą kolonię rusińską w naszem mieście. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w cerkwi św. Norberta, celebrowanem przez ks. prałata Borsuka wobec licznie zgromadzonych wyznawców kościoła grecko-katolickiego. Następnie przy odgłosie dzwonów wyruszyła procesya na sąsiednie plantacye. Tu ustawiono ołtarz, przybrany dywanami, z obrazem przedstawiającym chrzest Chrystusa w Jordanie. Poniżej znajdowała się stągiew z wodą. Po odprawieniu odpowiednich ceremonij, ksiądz prałat dopełnił poświęcenia wody, którą wierni w dzbankach rozebrali do domów. Nakoniec procesya powróciła do cerkwi.

Egzotyczny dyplomata.

(Do illustracyi na stronie 11.)

Jang-Czeng dotychczasowy poseł chiński na dworze berlińskim został, przez Bogdyhana odwołany. Nastąpiła stąd pewna konsternacya nad Sprewą, bo lubiono tam pana Jang-Czenga pasyami, a dla czego? — bo mówił „żargonem" berlińskim.

Dla Europejczyka wyuczyć się tej pięknej mowy krzyżackiej, nie przedstawia takich znów wielkich trudności. Inną jest ta kwestya jednak dla Chińczyka, który w swym języku nie ma litery r.

Dla tego też pisma niemieckie, żegnając Jang-Czenga piszą na jego cześć dytyramby za jego „Sprachentalent".

Przy jego odjeździe zgromadziła się na dworcu cała kolonia chińska w Berlinie. Z tej okazyi przekonano się, że w Berlinie mieszka daleko więcej synów Niebieskiego państwa, niż powszechnie sądzono. Dziś ubierają się oni po europejsku i swój charakterystyczny warkocz chowają pod kapelusz, skutkiem tego trudno ich odróżnić na ulicy od rodowitych Berlińczyków.

polskiej w Wiedniu i powzięto następującą uchwałę: Rada naczelna uznaje w zasadzie potrzebę solidarności reprezentacyi polskiej w Wiedniu, ale reprezentacya ta musi dać posłom Polskiego stronnictwa ludowego możność działania według woli i potrzeb wyborców. W kwestyi poprawy bytu nauczycieli, Rada uznała żądania nauczycieli ludowych za uzasadnione i poleciła swoim posłom wnieść natychmiast po zwołaniu Sejmu odpowiednie wnioski w tej sprawie. W końcu Rada wyraziła sympatyę ludowi polskiemu w Królestwie, oraz cześć i najwyższy podziw dzieciom polskim, walczącym o język i wiarę w Poznańskiem. Obrady były nadzwyczaj ożywione i trwały od godziny 10 rano bez przerwy do godziny 10 w nocy.

Na załączonej obok fotografi podajemy zbiorową grupę członków Rady naczelnej i mężów zaufania ludowców, zebranych w dziedzińcu hotelu Kleina w czasie obrad, na drugiej zaś fotografii Wydział Rady naczelnej. *j-r.*

„Jordan" w Krakowie.

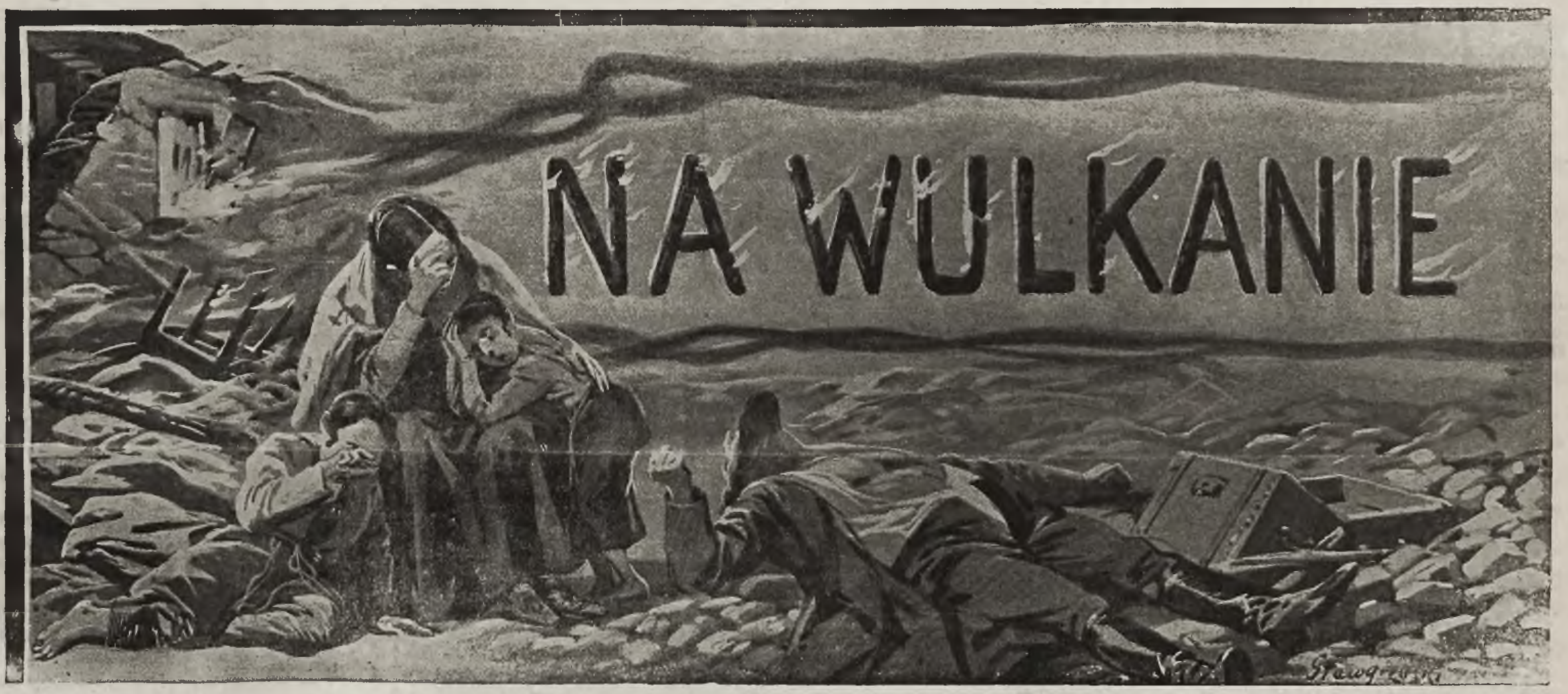
Do najuroczystszych świąt kościoła grecko katolickiego, podobnie jak w cerkwi prawosławnej, należy obchód Jordanu. Rusini galicyjscy obchodzą co rok to święto w dzień 19 go stycznia (6 go starego stylu) z niezwykłą uroczystością, a we Lwowie w procesyi na rynku uczestniczą najwyżsi dygnitarze krajowi i wojskowość. Dawaliśmy już swego czasu w naszem piśmie zdjęcia fotograficzne z



Fot. W. Lis.
»Jordan« w Krakowie: Uroczystość święcenia wody.



Fot. W. Lis w Krakowie.
Ludowcy przed wyborami: Grupa członków Rady naczelnej i mężów zaufania stronnictwa ludowców w Galicyi.



Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

7 Ciąg dalszy.

— Ech, jeśli to Polaczki... głupstwo — rzekł grubym głosem Wasyl Wasyliewicz.

— W tem rzecz, że to nasz... syn gubernatora wojennego Czerniejewa.

Czekał wrażenia i nie zawiódł się.

Wasyl Wasyliewicz spojrzał najpierw niedowierzająco swemi buremi oczyma i rozłożywszy ręce mruknął:

— Ot zła sprawa... cóż tu robić?

— Namyśliłem się.. trzeba tego młodego Czerniejewa przeprosić.. tak mnie nie wypada, ja naczelnik przecież... i ot wy pójdziecie Wasylu Wasyliewiczu.

— Jak trzeba, to trzeba.

— Ale to nie dosyć — mówił dalej naczelnik — jego trzeba ugościć, przyjąć szczerem sercem, aby i ślad zaginął głupoty przeklętego Wańki... Tak wy jego weźmiecie do naszego klubu, będę i ja... i jakoś się sprawa załagodzi, końce w wodę... ot tak. Czy zrozumieliście, Wasylu Wasyliewiczu?

— Nu, pojął ja, to nietrudno... ale jak on nie zechce... a jeśli on arystokrata, to i cóż zrobię?

— Wasz rozum, ja daję plan, nu a wasze wykonanie. Tak wypada po starszeństwie czynu, na to nie poradzicie.

— Hm... racya wasza. A gdzie pasporty?

— Oto są.. a zaproście i tego Polaka, może to znajomi, czort ich wie.

Władysław, wyszedłszy na rynek, spostrzegł czekających na niego Młota i Marcelka. Dał im nieznacznie znak, aby się zbliżyli, a gdy podeszli, spytał:

— Gdzie reszta towarzyszy?

— Bezpieczni, na dany znak zgromadzą się — odpowiedział Młot.

— To dobrze... teraz musimy plan obmyśleć, lecz wpierw zaprowadzę was do budynku kasy. Wy towarzysze jesteście rzemieślnikami, których godzę do budowy domu na wsi. Mowię to na wypadek niespodziewany.

— Rozumiemy.

— Idę przodem, przed domem kasy stanę i zapalę papierosa. Właściwa kasa jest po prawej stronie od wejścia.

Podeszli do budynku, a gdy zbadali zewnętrzny wygląd, Bal dał znak do powrotu i szepnął:

— Idę do zajazdu... pytajcie o mnie śmiało.

W drodze spotkał Wandę i Kolę, wracających ze spaceru i zwrócił się więc do siostry:

— Biorę numer obok dla ciebie, kto wie, jak długo musimy czekać.

— A gdzież teraz idziesz?

— Do zajazdu... mam konferencyę.

— To może lepiej, abym zaraz zajęła numer... tu są tacy ciekawi.

— I owszem... idźcie oboje.. jak skończę, dam wam znać.

Bal z dwoma towarzyszami usiedli przy stole, a on wyjąwszy papier narysował plan domu, objaśniając ilość i jakość drzwi i okien.

— Hm... z kratami i drzwiami poradzimy sobie, byle łom dobry, ręce się znajdą — rzekł Młot — najgorsza rzecz to kasa i żołnierze.

— Z tymi też poradzimy sobie... ja biorę jednego na siebie, a Wawrzyk albo Marcin drugiego — odezwał się Marcelek — zaś co do kasy, to Jan biegły, pracował przy nich we warsztacie.

— Za lekko bierzecie towarzysze — upomniał Bal — pomijam szczegóły co do krat i okiennic, idzie o czas, otóż liczę na rozbrojenie żołnierzy dziesięć minut; włamanie do środka powinno potrwać co najwyżej dziesięć minut; rozbicie kasy dziesięć minut, wyjęcie pieniędzy i rozmieszczenie tychże dalsze dziesięć, zatarcie śladów pięć, czyli razem czterdzieści pięć minut, zostaje nam zatem do ucieczki piętnaście minut. Obliczam cały napad na godzinę, gdyż co godzina zmienia się warta przy kasie. Jeden fałszywy krok grozi śmiercią nam wszystkim i robota musi iść dokładnie, nie wolno minuty zmarnować.

Obydwaj towarzysze siedzieli chmurni, obliczali możność wykonania poleceń; wreszcie Młot zaczął zwolna:

— Widziałem kraty po trzy sztaby wzdłuż i w poprzek... Dom suchy, murowany, prawdopodobnie mur nie puści łatwo, trzeba przepiłować sześć prętów. Na każdy pręt pięć minut, to trzydzieści, a że tylko dwóch może pracować dla braku miejsca, zatem kraty zajmą pół godziny.

— Jako kotlarz — rzekł Marcelek — znam się z blachą, żebym mógł tylko rzucić okiem na okucia drzwi i okiennic, powiedziałbym czas na minuty, a z opowiadania myślę, że w pięć minut puści okiennica kasowa, bo to pewno fuszerska robota, zwyczajnie jak na prowincyi.

— A w dodatku dla rządu — uśmiechnął się Młot — gdzie zawsze połowę rozkradną.

— Widzę, że moje obliczenia były chybione — przemówił Bal — trzeba plan zmienić... W każdym razie, niech towarzysz kupi najlepszych pilników, tu są pieniądze.

— I ze trzy łomy tęgie — dodał Marcelek.

— Proszę was towarzysze, nie żałujcie pieniędzy na narzędzia, ani na ilość, ani na jakość.

— To się wie — mruknął Młot.

— Dziś należy wszystko przygotować, gdyby który z towarzyszów miał trudności w przenocowaniu lub ukryciu się, to idźcie pod adresem tych, których wam podam, zanotujcie — i podał dwa nazwiska polskie, jedno żydowskie.

— Nie zawadzi mieć wspólników — odezwał się Marcelek notując adresy.

— Ale o naszej wyprawie ani słowa tutejszym. Dziś zakupno narzędzi, byle ostrożnie, w pojedynkę, a o godzinie dziewiątej przyjdźcie do mnie towarzysze, zrobimy plan szczegółowy.

— Dlaczegóż nie teraz? — spytał Młot.

— Brakuje nam towarzysza Jana, który pracował przy kasach, tego przyprowadzicie ze sobą.

— A gdyby tak Marcina, morowy siłacz — doradzał Marcelek.

— Hm... dobrze, niech i on przyjdzie.

Nagle rozległy się gwizdki i krzyki na ulicy.

— Może którego z naszych łapią — szepnął Marcelek.

Bal szybko otworzył drzwi, wychylił się nasłuchując, gdy nagle odtrącony zatoczył się, a do pokoju wpadł człowiek zziajany, w którym poznali towarzysza Michała. Usiadł na łóżku i szepnął:

— Gonią mnie!

Bal zamknął drzwi i spytał:

— Co zaszło?

— Rozlepiałem odezwę naszą... strażnik mnie obaczył, nie mogłem się oddać, papiery... — wyjął zwitek z kieszeni.

— Co za nieostrożność! — zawołał niezadowolony Młot.

Bal wziął podane papiery, rzucił okiem i mruknął:

— Spis opodatkowanych... także wybrał się — schował starannie papiery i spytał: — czy dojrzał was towarzyszu?

— Ledwiem się wyrwał — odrzekł głęboko oddychając.

Zapukano ostro do drzwi, Bal ręką wskazał, aby stanęli w rzędzie, otworzył i do pokoju wszedł Wasyl Wasyliewicz Pietuszok, naczelnik straży ziemskiej.

— Czy cześć imieju z panom Balkowskim poznakomit sia? — spytał z progu.

— Jestem, o co idzie?

— Nu, poznakomim sia... Wasyl Wasyliewicz Pietuszok.

Bal przedstawił się i prosząc, aby usiadł, mówił:

— W tej chwili miałem konferencyę w sprawie budowy domu — wskazał na trzech towarzyszy.

— Tak pan dworzec buduje, ot pięknie, będzie pan nam sąsiad, mołodyj ta wiesołyj.

— O ile dom będzie zbudowany...

— Nu, nasze remieślniki ot po prostu bieda ta nieszczaście, płać, proś, a taki na czas nie zrobi.

— Może będę szczęśliwszy.

— Tak może być... a ja do was, pan, z interesem. Ten mużyk, strażnik nie poniał dieła... ot wam, pan, nieprzyjatność zdiełał... No nietylko wam, ale gaspadin Mikołaju Michajłowiczu Czerniejew... ot płochie dieło.

— Istotnie Koli i mnie było przykro.

— Eto wasz druh... przyjaciel? — zawołał zainteresowany.

— Tak, to mój kolega.

— Oczeń żałko..

Wtem drzwi otworzyły się szeroko i wpadł strażnik Wańka, wołając:

— No nie ujdiosz sukin syn — i poskoczył do stojącego Michała.

— A to co nowego! — krzyknął Bal — napadłeś mnie o pasport, a teraz znów!

Strażnik chciał groźnie odpowiedzieć, gdy dojrzał swego naczelnika i stropiony, zmieszał się, wyprostował i wyjąkał:

— Eto buntowszczyk... proklamacye...

— Ach ty proklataja skatina! — wybuchnął naczelnik straży — eto wieżliwość!? Nie nada tobi sprasit. Kak swynia leziet, i zwinit gaspadin.

— Nie rozumiem czego chce, od godziny rozmawiam z tymi ludźmi..

— Słyszysz! Paszoł won!

— No wasze wysokorodie — bąkał Wańka.

— Paszoł, wot rozgaworywajet.

Strażnik zrobił obrót i wyszedł, rzuciwszy groźne spojrzenie na towarzysza Michała.

Wasyl Wasyliewicz wstał z krzesła z ukłonem:

— Ja imieju dieło k' wam i waszemu towaryszu.

— W tej chwili — i podszedłszy do drzwi bocznych zapukał, wołając:

— Kola! Chodź tutaj! — a zwracając się do trzech towarzyszy — proszę zaczekać w przyległym pokoju.

Wszedł Kola, elegancki, ładnie ubrany, a odpowiedziawszy skinieniem głowy na niski ukłon urzędnika, spytał:

— Co mi powiesz?

— Pan naczelnik straży ziemskiej przyniósł nasze pasporty...

— Więc cóż? — spytał zimno.

— Ot, ja wam dokład zdiełaju... Nie z pasportamy, no z izwinieniem priszoł k' wam gaspadin“.

— Niczewo, nie bezpokojtyś — odpowiedział z zimną grzecznością.

Wówczas Wasyl Wasyliewicz poczuł, że naprawdę ma do czynienia ze synem generała, wyraził swój żal i naczelnika, ofiarował się z ukaraniem strażnika, co Kola odrzucił, wreszcie prosił usilnie, aby na dowód zapomnienia tego mimowolnego uchybienia, przyszli obaj na zgodę do klubu rosyjskiego, gdzie będzie ich oczekiwał sam naczelnik powiatu.

— A pan? — spytał Bal.

— Nie lubię klubu, tam sama arystokracya bywa, oficerowie dragonów, nie mnie grać z nimi.

— Ależ z panem byłoby nam przyjemnie — rzekł Kola.

— My... to jest naczelnik i ja, z oficerami piechoty zabawiamy się w winiarni Szaji... ot wesoło, swobodnie, serdecznie, prawdziwa ruska zabawa — zabłysły mu oczy.

Władysław, usłyszawszy o oficerach piechoty, powziął myśl dowiedzenia się szczegółów od nich co do rozkładu wojska i warty, rzekł więc z uśmiechem:

— Więc idźmy do Szaji.

— No, nie wypada — odpowiedział Wasyl Wasyliewicz — tak uczcić potrzeba syna generała, należy się to wam — ukłonił się Koli — sam naczelnik to mówił.

— Ależ ja lubię naszą ruską zabawę, szeroką, morze po kolana, ot co — śmiał się Kola.

— Nie, nie można — westchnął urzędnik.

— Do klubu nie pójdę — zawołał Kola, wchodząc w myśl Bala — dość mam tej arystokracyi.

— Nu, tak powiem naczelnikowi, a wasza wola do Szaji, tak i będzie, zajdę tu po was za godzinę.

Gdy wyszedł, Bal otworzył drzwi od przyległego pokoju i rzekł:

— Wandziu, towarzysze, proszę was.

Pierwsza weszła Wanda zarumieniona, rozjaśniona, a zbliżywszy się do brata, szepnęła:

— Jestem szczęśliwa.

— Towarzysze! — zaczął Bal. — Dzisiejszej narady nie będzie. Idę pomiędzy oficerów, może dowiem się potrzebnych nam szczegółów.

— Tem lepiej dla nas — mruknął Młot.

— Wy dwaj towarzysze kupcie, co potrzeba i jutro o siódmej rano przyjdziecie do mnie. Co do towarzysza Michała, aby uniknął zatargu ze strażnikiem pojedzie z moją siostrą na wieś, i jutro wieczorem stawi się tutaj.

Trzej towarzysze skłonili się i wyszli.

— Ach Władziu — mówiła Wanda z błyszczącemi oczyma — co za rozkosz pracować z takimi towarzyszami, naprawdę dopiero teraz rozumiem wartość życia.

— Tego rodzaju entuzyazm dobry jest w poezyi, ale w praktyce szkodzi, gdyż zaślepia — rzekł Władysław z pobłażliwym uśmiechem.

— Zobaczysz mnie w robocie, bo teraz musisz mnie wziąć, prawda Władziu? — patrzała błagalnie.

— Ależ już jesteś.. tego Michała dopilnuj.. niech przenocuje u gumiennego albo u stangreta i niebardzo pokazuje się na wsi, bo możecie napytać kłopotu.

— Już go umieszczę bezpiecznie, a jutro raniutko będę tutaj.

— Nie przyjeżdżaj proszę cię, to zwróci uwagę na nas. Konie niech przyjdą przed południem, będziemy u was na obiedzie.

— I weźmiesz mnie wieczorem?

— Sam nie wiem, czy wyjadę od was.

— Lecz gdybyś jechał..

— Zobaczymy... a Stefci powiedz, że z adwokatem jutro kończę.

— Ach Władku — zaśmiała się — tym adwokatem zasłaniaj się wobec innych, ale nie przede mną.

— Spytaj się Koli, czy nie byliśmy i powiedz Stefci, że sprawdziły się jej słowa, licytacyi nie będzie.



— Znajesz Mańka, ot pogulajem,... zautra kozaki pryjdut — i ściskał niezbyt wyrywającą się gospodynię.

— Więc wy naprawdę byliście u adwokata? — zdziwiła się szczerze.

— Byliśmy istotnie — potwierdził Kola.

— To bardzo dziwne — chwileczkę namyślała się — już wiem.. chcieliście upozorować wasz pobyt tutaj... nieprawdaż? — a spostrzegłszy mimowolny uśmiech Koli — o, z pana zły spiskowiec, zdradza się pan.

— Jedynie przed panią — bronił się.

— A więc przyznaje pan, że adwokat był pozorem — uśmiechnęła się zadowolona — i znów pan się wygadał niepotrzebnie.

— Niezły sędzia śledczy byłby z ciebie... ale pomińmy tę kwestyę i Stefci powiedz tak, jak cię prosiłem.

— Ale co wy tutaj szykujecie?

— Dowiesz się.

— Czy przed wykonaniem?

— Może będziesz potrzebna, to się pokaże jutro. A teraz jedź.

Gdy obaj stali w bramie zajazdu, patrząc za odjeżdżającym powozem, zobaczyli idących ku sobie naczelnika powiatu i naczelnika straży ziemskiej Wasyla Wasyliewicza Pietuszok. Ten idąc obok swego przełożonego, mówił z cicha:

— To dziwne jednak, dlaczego oni tu przyjechali.. tak pozwólcie mi spytać się, bo to musi być jakowaś przyczyna, czy nie tak?

— Hm.. pytajcie, a ja myślę, że Balkowski przyjechał w odwiedziny do siostry... no, a Mikołaj Michajłowicz zrobił mu zaszczyt, ot co!

— Bywa i tak... ale po co do miasta przyjechali?... No i ten jakiś, co rozlepiał odezwy? Nie aresztowałem, ale kazałem go dopilnować i schwytać...

— To się wam chwali... ostrożność nie zawadzi, jakkolwiek to są nasi, bezpieczni ludzie... ale Polakom nigdy nie można dowierzać.

— Mądrze mówicie... on grzeczny, duszę ci otwiera, ze wszystkiego się zwierzy, a jednak nie rozbierzesz, co myśli i co robi.

— Chytry to naród, no nas nie weźmie Wasylu Wasyliewiczu.

— Ono to tak... ot i panowie czekają na nas.

Nastąpiło przywitanie wzajemne, jeszcze raz przeprosił Kolę naczelnik powiatu za pomyłkę. Szli w kierunku Szaji, a Kola żartował:

— U pana naczelnika, jak widzę, wszystko po dawnemu, stare porządki, a u nas już konstytucya.

— Konstytucya!? — aż przystanął — to niemiecki wymysł. Nasz ruski człowiek nie przywykł do tego, zostanie na papierze, ale w życiu inaczej. Gdybym konstytucyjnie chciał rządzić w moim powiecie, to byłoby czysto urwanie głowy, ani pomyśleć!

— Jednak wolność, to dobra rzecz — dorzucił Bal.

— Nu wolność, tak ktoż nie woli? Wszystko wolno w domu, w porządku, według prawa.. no anarchia to inna rzecz, ot cudzoziemcy ta żydzi chcą zaszczepić w naszej Rosyi anarchię, ale rząd nie pozwoli i szabas!

Weszli do salki skromnie umeblowanej i oboje gospodarstwo, zwłaszcza młoda i ładna gospodyni ze spojrzeniem i uśmiechem zalotnym witała przybyłych i bacznie spojrzała na dwóch nieznajomych, oceniając, ile może zarobić, gdy będą ugaszczali urzędników powiatu.

Usiedli, zaczęli pić wódkę, i to jeden to drugi naczelnik kazał podawać przekąski, piwa, porter, nie pozwalając gościom na żadne wydatki. To tak dalece przechodziło miarę codzienną i było tak niesłychanem, aby naczelnik płacił i gościł, że Szaja, jego żona i jej siostra, podejrzliwie i z wielką nieufnością oglądali niezwykłych gości i po krótkiej naradzie zdecydowano, aby Szaja rozpytał się w mieście, kto oni zacz? A może to inspektorzy z akcyzy? A może urzędnicy do specyalnych poruczeń?

Szaja pobiegł na miasto i uspokojony powrócił, że to nie żadni dygnitarze, tylko brat pani Żegielskiej i jakiś jego przyjaciel.

Do kompanii przyłączyli się dwaj oficerowie piechoty, a jeden z nich objąwszy w pół gospodynię, zawołał:

— „Znajesz Mańka, ot pogulajem... zautra kozaki pryjdut“ — i ściskał niezbyt wyrywającą się gospodynię.

— Kozacy przyjdą? — spytał Bal z niedowierzaniem

— Tak jest. Dragoni idą na manewry.

— Ot pozbędziemy się tych głupich paniczyków, — zaśmiał się złośliwie Wasyl Wasyliewicz i z przyjemnością wypił kieliszek wódki.

— Nu i ja rad temu — rzekł naczelnik — bo trudno było doprosić się patroli dragońskich.

— A wam na czorta patroli? — zaśmiał się sztabskapitan Jegorow — tu spokojnie, wszyscy śpią, złote macie życie

— Cicho jest, bo ja czuwam — mówił z godnością naczelnik, — a czytajcie gazety, co się dzieje po innych powiatach, tam czysta anarchia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Najmłodszy parlament.

Nielada odwagę miał świeżo zmarły szach perski Muzaffer-ed Din, gdy zdecydował się w Persyi zaprowadzić rządy konstytucyjne, bo tem samem stanął w jaskrawej sprzeczności z większością swoich poddanych, silnie trwających przy dawnych zapatrywaniach i tradycyach wspólnych ludom wschodnim. Jakimkolwiek byłby władca w tamtych stronach, traci na powadze gdy czegokolwiek ze swej władzy się zrzeka. Widocznie jednak kilkakrotny pobyt w Europie przekonał Muzaffer-ed-Dina, że lepiej się dzieje w państwach, gdzie lud, przez swoich przedstawicieli powołany jest do współudziału w rządach, aniżeli tam, gdzie sam rządzący jest panem życia i śmierci swych poddanych, oraz ich najżywotniejszych interesów.

Pewien Francuz, któremu się udało dostać na jedno z posiedzeń tego najmłodszego parlamentu, tak je opisuje.

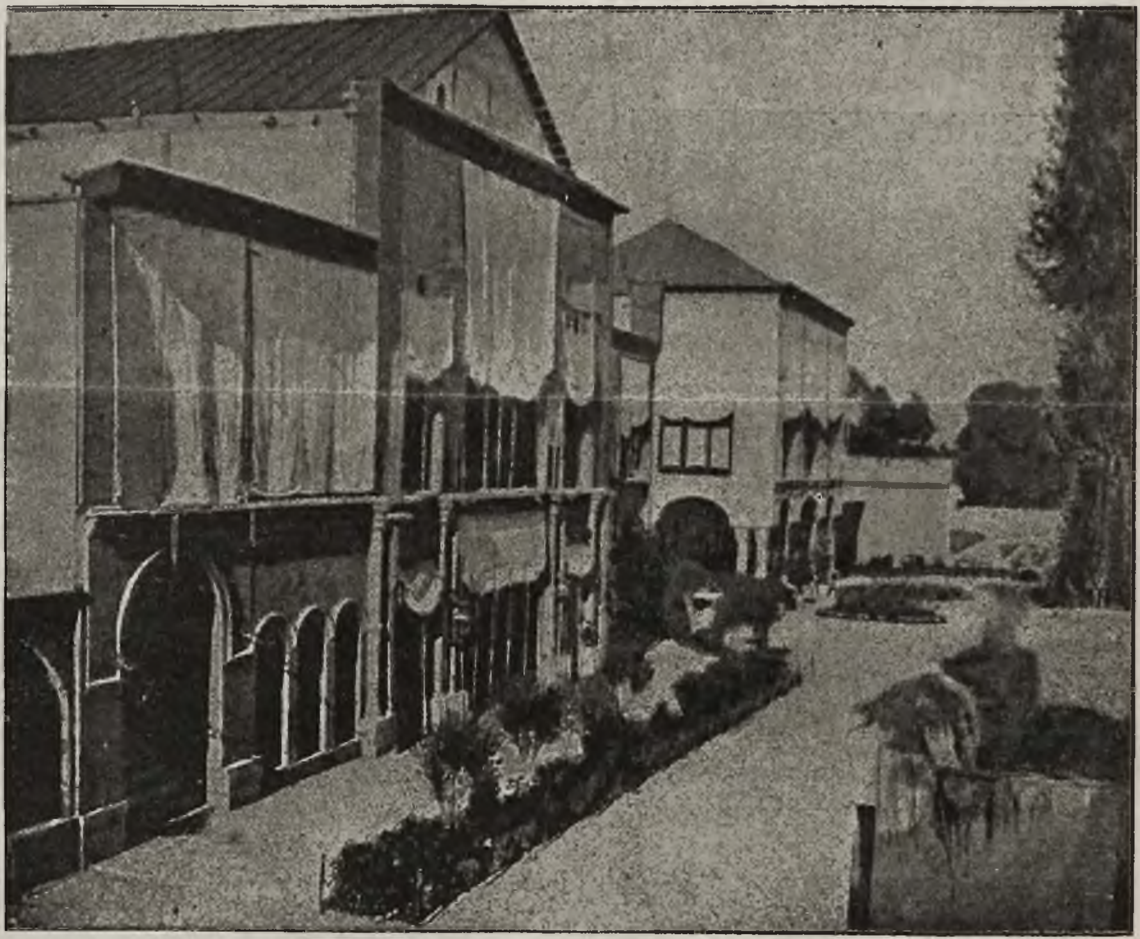
Wszyscy posłowie siedzą na ziemi, z nogami pod siebie skrzyżowanemi, na przepysznym dywanie. W zgromadzeniu panuje grobowa cisza. Podnosi się jeden z posłów i głos zabiera, np. jest to poseł opozycyjny. Podczas gdy w parlamentach europejskich już na początku przemówienia takiego mówcy, powstaje zwykle hałas, podniesiony przez partyę rządową, która nawiasem powiedziawszy, posiada w perskim parlamencie większość, tam słuchają go z całą zimną krwią, właściwą synom wschodu. Nie przeszkadza to jednak zupełnie, że zgromadzenie wyraża później zupełnie inną opinię, niż zapalony przedstawiciel opozycyi.

Po kilku mniej ważnych sprawach, przyszła pod obrady na tem posiedzeniu, na którem był ów Francuz, kwestya założenia narodowego Banku perskiego. Przez aklamacyę przyjęto odnośne przedłożenie. Noc już zapadła, a przewodniczący zamknął posiedzenie.

Posłowie powstają, prostując z widocznem znużeniem nogi po „posiedzeniu“, które było takiem w dosłownem tego słowa znaczeniu. Zbierają się następnie w grupy i urządzają między sobą składkę, celem zapewnienia kapitału zakładowego nowemu Bankowi narodowemu. Skutek tej składki był nadzwyczajny — jak na tamtejsze stosunki — w pół godziny zebrano podpisów na dwa i pół miliona franków.

„Czuć było — pisze ów Francuz — że serce narodu, który budzi się do życia, drgać poczyna“.

Afganistan, a to ze względu na swe szczęśliwe położenie geograficzne, oraz wielkie przyrodzone zdolności swych mieszkańców, niedarmo nazywanych „Francuzami wschodu“.



Najmłodszy parlament: Boczny widok na pałac Baharistanu.

Przypomnieć należy, że Persya, gdzie od dawna już walczą między sobą wpływy rosyjskie, angielskie i francuskie, odegra niezawodnie wybitną rolę w historyi Azyi środkowej, zarówno jak

W podanych obok zdjęciach fotograficznych mogą Czytelnicy najlepiej zauważyć charakterystyczną fizyognomię „najmłodszego z parlamentów“, tak różną od tego, co się widzi w Europie lub Ameryce.



Najmłodszy parlament: Wnętrze pałacu Baharistanu, gdzie obraduje parlament perski.

Władca Afganistanu.

Kilka dni temu, obecny panujący Afganistanu, emir Habib Ullah przybył pierwszy raz do Indyj, gdzie w mieście Agrze został uroczyście przywitany przez teraźniejszego wicekróla tych ogromnych posiadłości angielskich, lorda Minto, którego poniżej podajemy portret. Orszak młodego



Władca Afganistanu: Lord Minto, wicekról Indyj, któremu złożył wizytę Abib-Ullah, emir Afganistanu.

władcy składał się z 75 oficerów i przeszło 1000 żołnierzy.

Położenie Habib Ullaha jest bardzo trudne, musi on bowiem lawirować ciągle między wpływami rosyjskimi, a najbliższych mu rządów Wielkiej Brytanii, która, w Indyach posiadając potężną armię, może w każdej chwili wypowiedzieć swoje potężne słowo.

Król Edward przywitał wprawdzie swego „kolegę“ bardzo serdecznym telegramem, trudno jednak przypuścić, aby zapomniał Afgańczykom dwóch porażek, jakie spotkały Anglików ze strony tego bitnego narodu. Pierwsza z nich wydarzyła się Anglikom w 1842 roku w wąwozie Chaibar, gdzie wymordowano co do nogi całą wyprawę angielską w sile 16 000 ludzi, pod wodzą lorda Elphinstona.

Druga porażka spotkała Anglików w roku 1879 gdy całe poselstwo angielskie w stolicy Afganistanu, Kabulu, zostało, po zaciętej obronie, wymordowane. Rząd angielski nie mógł darować podobnego postępowania. Wyruszyło wojsko angielskie z Indyj pod wodzą, tak dobrze znanego z wojny przeciw Boerom, marszałka Robertsa, obsadziło Kabul i ukarało winnych.

Rzecz oczywista, że wpływy rosyjskie nie spuszczają ani na chwilę z oka Afganistanu, bo kraj ten, tak bliski Indyj angielskich, stanowi najkrótszą drogę, którą można trafić prosto w serce Wielkiej Brytanii. Jednakowoż po nieszczęśliwej wojnie z Japonią, Rosya musiała bardzo dużo stracić na swym uroku wobec ludów azyatyckich.

Do jednego z dzienników francuskich piszą w tej sprawie, że do nie dawna krążyły wieści, o rokowaniach, co do porozumienia angielsko-rosyjskiego w kwestyach, tyczących Azyi środkowej. Od pewnego czasu jednak wieści te przycichły. Widocznem jest tedy, że podróż władcy Afganistanu do Indyj nie sprzyja wyrównaniu przeciwieństw anglo-rosyjskich w Azyi. Przeciwnie, te odwiedziny stanowią dalszy krok w wypieraniu do niedawna tak przemożnych wpływów rosyjskich przez Anglię. Opinia publiczna angielska, za pośrednictwem dzienników, podkreśla z naciskiem, że w osobie emira Afganistanu wita nietylko naczelnika państwa, odgrywającego tak ważną rolę w polityce środkowo-azyatyckiej, lecz także naczelnika Islamu w tych stronach.



Najmłodszy parlament: Wejście do pałacu Baharistanu.

Konkretne jednak cele wizyty Habib Ullaha streszczają się w następujących punktach: swobodny dowóz broni do Afganistanu, ustanowienie stałego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Londynie, oraz odstąpienie pewnego terytoryum w Beludżystanie, na którem Afganistan mógłby założyć własną przystań morską.

Natomiast Anglicy żądają od emira, aby przyzwolił im na rozszerzenie indyjskiej sieci kolejowej i telegraficznej na Afganistanie, dopuszczenie oficerów angielskich na instruktorów armii afganistańskiej, a wreszcie, na zobowiązanie się, że nowa broń afganistańska będzie tylko w Anglii zakupywaną.

Zdaje się że przy powszechnie znanej skłonności synów Albionu do załatwiania interesów, gdzie się tylko da, ostatni ten wzgląd najwięcej wpłynął na rząd angielski, do tak przyjaznych stosunków względem Habib Ullaha.

Pan i władca Afganistanu, którego sami Afganowie nazywają „Urdza-lot“, jest podobno typowym władcą wschodu. W dziesiątym roku życia miał już żon siedm, a ta liczba wzrosła później do kilkuset. Przed paru laty jednak ograniczył liczbę małżonek do czterech i zarazem zakazał



Najmłodszy parlament: Posłowie parlamentu perskiego w ogrodzie pałacu Baharistanu.

swoim poddanym więcej, niż cztery żony posiadać. Natomiast pozwolił tylko pięknym i młodym kobietom odwiedzać swój harem, za co otrzymują zaszczytny tytuł „siostry emira“. Czy z tego są zadowoleni poddani Jego Emirskiej Mości — niewiadomo.

Trzęsienie ziemi na Jamajce.

Wiadomo już z depesz w dziennikach o strasznej katastrofie, jaka nawiedziła miasto Kingston na wyspie Jamajce, podległej berłu angielskiemu, a należącej do grupy Wielkich Antylów. Gwałtowne trzęsienie ziemi, oraz wybuchły prawie równocześnie pożar, obróciły niemal w perzynę miasto, grzebiąc pod gruzami jego setki trupów i ty-

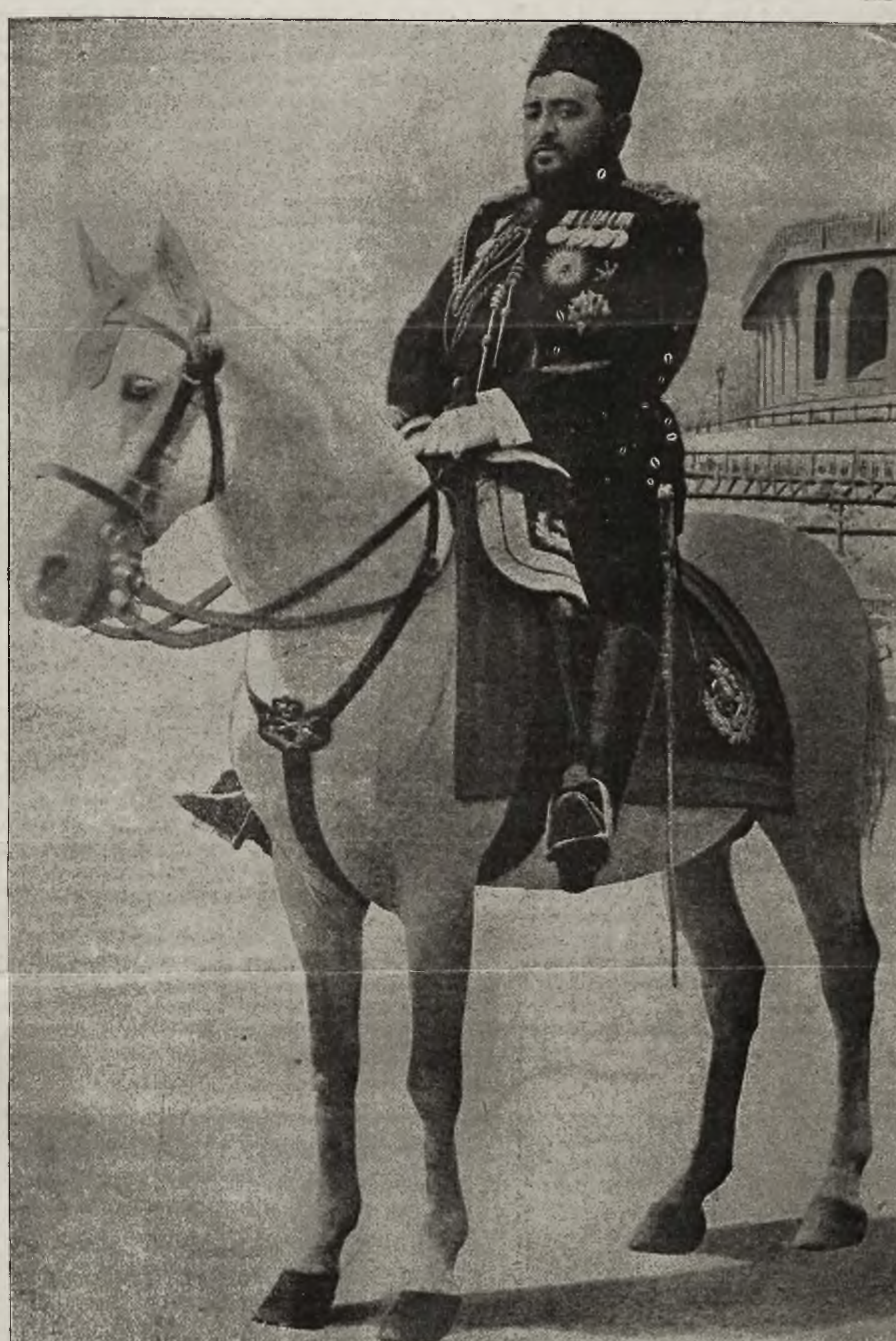


Trzęsienie ziemi na Jamajce: Murzynki przy toalecie.

siące rannych. Dotąd znane są tylko w najogólniejszych zarysach szczegóły tej nowej katastrofy wulkanicznej, a to z powodu przerwania się połączenia kablowego z wyspą, ale już z tych lakonicznych doniesień widać, że katastrofa na Jamajce osiągnęła rozmiary olbrzymie, które przywodzą na pamięć świeże jeszcze wspomnienia podobnych katastrof w San Francisco i Valparaiso.

Ponieważ wogóle wyspy morza Karaibskiego, na którem znajduje się także Jamajka, są przeważnie wulkaniczne, to też wybuchy i trzęsienia ziemi nie należą tam do rzadkości. Właśnie w ostatnich latach nawiedzały one szczególnie i bardzo często wyspy Antylskie. Największe katastrofy zanotowano tam w r. 1902, na który przypadł pamiętny wybuch wulkanu Mont Pelée na Martynice oraz wulkanu Soufrière na St. Vincent, przyczem w pierwszym wypadku padło 30 000 w drugim przeszło 2000 ofiar w ludziach. Panika szalona, którą wywołały obie te katastrofy wśród mieszkańców wysp morza Karaibskiego, uspokoiła się, gdy w następnym czasie nieszczęścia przestały się ponawiać. Dopiero w ostatnich miesiącach pojawiły się znowu zatrważające zapowiedzi nowych wybuchów, w postaci peryodycznych trzęsień ziemi. Ale były to tylko wstrząśnienia podmorskie przeważnie, żadnych szkód nie wyrządzające, po których wody silnie występowały z brzegów. Uczeni ciągle oczekiwali wszakże większej katastrofy, która wreszcie wydarzyła się teraz, a ofiarą jej padło miasto Kingston.

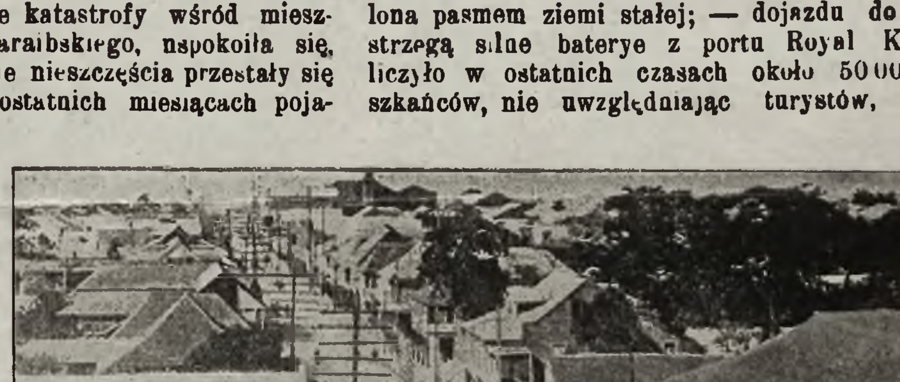
Położone w południowej stronie wyspy Jamajki, jest ono jej stolicą od r. 1871. Mieści się na opadającej lekko ku morzu pochyłości nad zatoką Hunt Bay, która ma długości 15 metrów, a jest od morza oddzielona pasmem ziemi stałej; — dojazdu do zatoki strzegą silne baterye z portu Royal Kingston liczyło w ostatnich czasach około 50 000 mieszkańców, nie uwzględniając turystów, których



Władca Afganistanu: Emir Habib-Ullah, który złożył wizytę wicekrólowi Indyj, lordowi Minto.



Trzęsienie ziemi na Jamajce: Piękna praczka.



Trzęsienie ziemi na Jamajce: Jedna z głównych ulic Kingstonu.

co rok ściągało tam około 20 000. Prócz urzędników i żołnierzy, ludność składa się przeważnie z mulatów i murzynów. Stolica Jamajki jest siedzibą konsula niemieckiego, posiada wspaniały gmach rządu miejscowego, wielki kościół angielski, duży budynek sądowy, szpital i teatr. Budynki są po większej części jednopiętrowe. Wokoło miasta zaś rozsiane liczne wille, kryją się wśród olbrzymich kaktusów. W znacznem oddaleniu od miasta znajduje się wielkie schronisko dla trędowatych.

tylko tyle, aby zarobić na życie, a potem z rękami w kieszeniach białego ubrania przechadzają się po mieście, albo po rogach ulic wysysają spokojnie kawałki trzciny cukrowej. Kobiety miejscowe ubierają się bajecznie jaskrawo, kochając się w barwach papuzich. Barwności dopełniają tu żołnierze angielscy w czerwonych frakach. Całe towarzystwo zbiera się wieczorami pod olbrzymią figą, zajmującą środek rynku kingstońskiego, słucha muzyki i ogląda wzajemnie swe stroje. W portach tej stolicy gromadzi się olbrzymi handel wyspy, która

długości a 50 do 60 szerokości) pod władzę Anglii, a ta uczyniła wyspę ową głównym punktem swej potęgi na wodach Indyj zachodnich. Po zniesieniu handlu niewolnikami podupadł zrazu stan ekonomiczny Jamajki. Dopiero nowa konstytucya sprowadziła stosunki normalne i w ostatnim czasie handel wzmagał się z roku na rok po chwilowym zastoju. Niezawodnie obecna katastrofa położy znowu tamę rozwojowi wyspy i jej ludności.

W poniedziałek popołudniu w ciągu trzech minut nastąpiły po sobie trzy silne wstrząśnienia w



Trzęsienie ziemi na Jamajce: Myrtle-Bank-hotel w Kingston.



Trzęsienie ziemi na Jamajce: Ulica parkowa w Kingston.

Domy w Kingston są budowane przeważnie z drzewa, materyał ten bowiem opiera się najłatwiej tak częstym w tych okolicach wstrząśnieniom ziemi. Mimo braku wysokich kamienic wielkomiejskich, stolica Jamajki ma kilka bardzo pięknych ulic. Przy nich to pobudowano wspaniałe urządzone hotele i sanatorya dla rekonwalescentów i wogóle ludzi osłabionych, których lekarze posyłać zwykli często właśnie do Kingston ze względu na zbawienny klimat tego miasta i jego okolic. Na ulicach panuje tam czystość angielska i angielski porządek. Domy zbudowane są tak, aby wszystkie ulice bez wyjątku były przewiewne i widne, a pokoje powietrzne i miłe. Warunki życia były dotąd w Kingstonie wcale nie drogie. Wogóle znawcy stosunków zapewniają, iż życie tam jest niesłychanie łatwe i przyjemne. To też murzyni pracują

produkuje mahoń i drzewo kampeszowe, owoce, kawę, indygo, bawełnę, tytoń i sól. Trzcina cukrowa była przed zniesieniem niewolnictwa jednym z głównych przedmiotów wywozu, ale brak niewolnika uniemożliwia zbyt już teraz kosztowną plantacyę. W porcie, jakkolwiek jest on zaniedbany, zmieścić się może tysiąc okrętów. Z Kingston wiedzie w głąb wyspy linia kolejowa.

Wyspę Jamajkę (sławną zwłaszcza z powodu rumu tej nazwy, pędzonego z miejscowej trzciny cukrowej) odkrył, jak wiadomo, Kolumb w czasie swej drugiej podróży i nazwał Santiago. Pozostawała ona do r. 1655 pod rządami Hiszpanów, którzy pierwotną ludność indyjską wytępili do szczętu. Następnie przeszła Jamajka, (która nie jest większa jak czwarta część Galicyi, bo ma 225 klm.



Egzotyczny dyplomata: Poseł chiński Iing-Gerg opuszcza Berlin.

południowej części wyspy, które najsilniej dały się uczuć właśnie w stolicy. Zdawało się, że całe miasto Kingston zniknie w ziemi. Budynki z trzaskiem padały na siebie, tworząc w okamgnieniu stosy gruzów. Panika, która wybuchła zaraz po pierwszem wstrząśnieniu, doprowadziła ludzi wprost do obłędu. Ludność w popłochu rzucała się na oślep dla ocalenia, przyczem rozgrywały się sceny grozą przejmujące. Zwłaszcza murzyni, w których obudziły się wszystkie przesądy i wierzenia pogańskie, stracili panowanie nad sobą. Rabunki i kradzieże, o których wiadomo z telegramów, że je głównie czarni popełniali, do szału rumem pijani, zaczęły się dopiero na trzeci dzień po właściwej katastrofie, na gruzach miasta, strawionego pożarem, gdzie około 10 tysięcy ludzi znalazło się dosłownie bez dachu. Ogień zniszczył w szczególności dzielnicę kupiecką. Okręty wyratowały w porcie kilkaset osób, które obłąkany tłum, szuka-



Trzęsienie ziemi na Jamajce: Na targu w Kingston.

jący ratunku podczas pożaru, wepchnął był do morza. Niektóre ze stojących na kotwicy okrętów, zostały silnie uszkodzone, latarnia morska nad zatoką zawaliła się. Codzień grzebią po paręset trupów. W lazaretach jęczą setki rannych. Bliższe szczegóły i dokładne opisy katastrofy nadejdą do nas dopiero za dni kilka. Na razie więc wraz powyższemi wiadomościami o miejscu nieszczęściem nawiedzonem, podajemy szereg rycin charakterystycznych z Kingston, któremu po świeżej klęsce grozi jeszcze zupełne zapadnięcie się w morze, grunt bowiem od chwili pierwszego trzęsienia poniedziałkowego opada nieustannie w całem mieście, zarówno na wybrzeżu, jak nawet w porcie pod wodą.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów przez M. Walter

B. Felicyan tłomaczył z angielskiego

4 (Ciąg dalszy).

Oczywiście, że będę szukał jaknajgorliwiej, boć owa pani Richards będzie dla nas nieocenionem źródłem wiadomości o Bradwardinem. Szukając jej, może przypadkiem wpadnę na ślad pięknej morderczyni, której prześliczne oko fotografowane nosisz na sercu.

VII.

Niezwykłe zaręczyny.

W domu Ruthvenów bywało teraz jeszcze weselej, niż dawniej.

Aby uprzyjemnić pobyt Eleonorze, urządzano dla niej wycieczki, zabawy domowe, chodzono często do teatru, na koncerty. Kate Scaton coraz nowsze miała pomysły w urządzaniu przyjemnych niespodzianek ukochanej przyjaciółce Frank Arteveldt bywał teraz u Ruthvenów niemal codziennym gościem.

Leonora wywarła na nim takie wrażenie od pierwszego wejrzenia, że mu się opędzić nie zdołał. Być może, że zajęcie się tą piękną panną dla tego w nim wzrastało, że ona zachowywała się wobec niego zimno i odpychająco, chociaż w ramach towarzyskiej grzeczności. Przywykły do łatwego zdobywania serc niewieścich, rozdrażniał się tą odpornością i nietylko sam pociąg do panny, ale i ambicya dondżuana, roznieciały w nim coraz silniejsze, coraz gorętsze uczucia, tak, że się niemal namiętnością stawały.

U Ruthvenów bywała często ich kuzynka pani Jessie Warren. Kobieta młoda, piękna, zalotna, lubiła się bawić, dlatego też teraz przychodziła częściej niż dawniej i brała udział we wszystkich tych przyjemnościach, które dla panny Armyn urządzano. Należała do rzędu tych kobiet, co to lubią narzucać się drugim na mentora, a szczególnie pannom. Skromność, takt i prostotę Leonory nazywała parafiańszczyzną i nie szczędziła Leonorze uwag. Leonora przyjmowała je grzecznie ale obojętnie, a raz nawet uprzejmie wprawdzie, ale bardzo stanowczo oświadczyła, że się nie zmieni i pozostanie taką, jaką jest, choćby się to nawet ludziom nie miało podobać.

Oczywiście, że pani Warren wydało się to wielką obrazą, to też powzięła głęboką niechęć do Leonory, aczkolwiek jej wyraźnie nie okazywała. Spostrzegłszy zabiegi Arteveldta i widząc obojętność Leonory, powzięła plan, aby ugiąć tę „dumną dziewczynę" i ułatwić Arteveldtowi zdobycie jej serca. Jak to uczynić? Oczywiście trzeba było udawać serdeczną przyjaciółkę Leonory i zyskać sobie jej zaufanie; czyniła też wszystko, na co się zdobyć może zręczna, przebiegła kobieta, ale wszelkie usiłowania pełzły na niczem.

Tymczasem Arteveldt już nie gorzał ale płonął sentymentem. Być może, że była to pierwsza, szczera miłość, ale niezawodnie roznieciały te płomienie: próżność i pożądliwość.

Pojąć tego nie mógł, dlaczego nie doznaje wzajemności jakiejś biednej, nieznanej panny, on, zdobywca serc niewieścich, on, najznakomitsza „partya" w całem Chicago Udawał się też pod opiekę pani Warren, ale nadaremnie. Gdy raz Leonorze z entuzyazmem o nim opowiadała, wychwalała jego charakter, obliczała jego majątek, Leonora słuchała tego bardzo obojętnie, a wreszcie rzekła:

— Możebyśmy rozmawiały o czemś bardziej zajmującem. Pan Arteveldt może służyć do ozdoby salonu, podobnie jak porcelanowa figura, ale nie jestto człowiek taki, jakim mężczyzna być powinien, aby się kobiecie podobał.

Oczywiście, że taka odpowiedź do żywego dotknęła Arteveldta i teraz, do uczuć dotychczasowych przyłączyła się u niego jeszcze jakaś zawziętość Teraz już zupełnie oddał swe losy w ręce pani Warren, a ona przyrzekła mu zwycięstwo.

Znowu upłynął tydzień, a w położeniu nic się nie zmieniło.

— Pani, ja oszaleję — rzekł raz Arteveldt do pani Warren — Niema ofiary, którejbym nie uczynił, żeby Leonorę posiadać. Ona musi być moją za wszelką cenę Oddaję pani do dyspozycyi część mojego majątku.

Był to dla pani Warren argument bardzo przekonywujący, bo pieniędzy zawsze jej było mało, tyle ich na stroje i na przyjemności bez rachunku wydawała. Do tego przyłączyła się też i silnie wzrastająca niechęć do Leonory.

— Przyjdź pan dziś wieczorem do mojej przyjaciółki, panny Buren, tam się naradzimy, mogąc spokojnie jakiś plan ułożyć.

W trzy dni potem przybyła pani Warren do Ruthvenów, jak zwykle bardzo uprzejma, bardzo czuła i namówiła Leonorę, aby z nią poszła za sprawunkami do miasta Po drodze spotkały Arteveldta, który się do nich przyłączył.

Chodziły dość długo, były więc nieco zmęczone. Wtedy pani Warren zaproponowała, żeby gdzieś wstąpić do restauracyi Leonora, acz niechętnie zgodziła się na to, nie chcąc przez grzeczność opuszczać towarzystwa.

Wtedy Arteveldt podjął się wskazać wykwintny lokal, w którym największe damy miasta zbierać się zwykły. Pani Warren z całą gotowością zgodziła się na to, Leonora się nie opierała, więc po kilku minutach zatrzymano się przed jakimś eleganckim lokalem. Gdy już Arteveldt drzwi miał otwierać, pani Warren zatrzymała się nagle.

— Ach, oto idzie moja przyjaciółka Burren, mam jej tylko kilka słów powiedzieć; idźcie państwo naprzód, ja zaraz do was przyjdę.

To rzekłszy, oddaliła się pani Warren szybko i zniknęła w tłumie ulicznym.

Leonora weszła z Arteveldtem do wskazanego lokalu. Z westybulu dziwnie cichego, szło się po schodach na piętro. Leonora ze zdziwieniem spostrzegła, że ten lokal niepodobny wcale do restauracyi. Otwarły się drzwi do eleganckiego salonu, gdzie na progu przywitał przybyłych z wielką uniżonością, ale zarazem dość poufale, jakiś człowiek o nikczemnem obliczu.

— A, pan Arteveldt, jakże się cieszę! Do tego w towarzystwie. Dziś pan może będzie szczęśliwszy, fortuna się panu uśmiechnie.

— E, cóż pan pleciesz panie Jeff — przerwał Arteveldt i mrugał na niego znacząco oczyma. Podaj pan tu lody, albo jakieś chłodniki inne.

Pobiegł prędko. Arteveldt wskazał miejsce Leonorze i usiadł obok niej, usiłując zawiązać ożywioną rozmowę.

Leonora zbywała go półsłówkami, zaniepokojona tem, że pani Warren nie wraca i że ona sam na sam znajduje się z Arteveldtem w publicznym lokalu.

Tembardziej ją to niepokoiło, że mężczyźni spoglądali na nią z dwuznacznym uśmiechem.

Wpatrzona w drzwi wyczekiwała niecierpliwie zjawienia się towarzyszki Nagle drzwi się rozwarły, lecz zamiast upragnionej pani Warren, wpadł jakiś młody człowiek i stłumionym głosem zawołał:

— Panie Jeff! Policya się zbliża!

Powstał zamęt w przyległych pokojach. Zaczęła się bieganina, słychać było dźwięk zgartywanych pieniędzy, usuwanie stolików. Kilkanaście osób, i mężczyzn i kobiet, przebiegło przez salon i zniknęło w skrytych drzwiach.

— Co to znaczy? — zapytała Leonora Arteveldta z największem oburzeniem.

Ale on nawet nie słyszał pytania, bo pobiegł za Jeffem, który ukazał się na nowo w salonie z twarzą uspokojoną.

— A co? - zawołał Arteveldt.

— Wszystko dobrze. Poszli dalej, już nie wstąpią.

Arteveldt wrócił do Leonory, a prawie równocześnie Jeff przyniósł lody.

— Mój panie, co to wszystko znaczyło? — pytała Leonora zwróciwszy się do Jeffa. Proszę mi powiedzieć, gdzie ja się właściwie znajduję?

— Ha, ha to zabawne. Sądziłem że pan Arteveldt pani wyjaśnił. Wszakże pani widzi, że to jest ruleta.

— Jakto? tajemna ruleta? Panie Arteveldt, jak pan śmiałeś?

Przestała mówić, głos zamarł jej w piersiach. Jeff usunął się dyskretnie.

— Panno Leonoro! wybacz pani — rzekł Arteveldt z pokorną tkliwością. Źle uczyniłem, wybacz pani. To szał miłości, on mię do tego popchnął.

— Panie Arteveldt! — odpowiedziała Leonora, podnosząc się z największem wysileniem — to było niegodziwie. Powiedziałam panu dwa razy stanowczo, żebyś na wzajemność nie liczył.

W jej postawie i słowach tyle było majestatu obrażonej dumy kobiecej, że Arteveldt uczuł się prawdziwie upokorzonym; nawet szczerze żałował w tej chwili, iż uległ namowom pani Warren i wykonał ten ohydny plan przez nią powzięty.

— Błagam panią o przebaczenie. Odmowa pani przywiodła mię do rozpaczy. Nie mogąc zjednać sobie wzajemności, postanowiłem w szale jakiegoś zapomnienia zmusić panią do tego, abyś mi oddała swoją rękę.

— Sądziłeś pan, że można kobietę zmusić do miłości?

— O nie pani, tem się nie łudziłem. Zmusić cię chciałem do tego tylko, byś została mą żoną, a spodziewałem się, że potem mię pokochasz, bo miłość twoją pierwej lub później zjednam sobie najgoretszem przywiązaniem i wiernością Wyobrażałem sobie, że niepodobna abyś się bodaj nie ulitowała kiedyś nademną i nie odpłaciła mi choćby częścią wzajemności za wulkaniczną miłość bez granic.

— To pana nie usprawiedliwia, nie uniewinnia, panie Arteveldt! przyprowadzić mię tu podstępnie, było zbrodnią.

— Przyznaję Jestem zbrodniarzem, zbrodniarzem z miłości. Ale to był jedyny środek, aby panią zmusić do oddania mi ręki. Wiedziałem, że pani uczuje się skompromitowaną, znalazłszy się tu ze mną sam na sam Dlatego nawet postarałem się o to, aby panią widzieli ci z moich znajomych, którzy u Ruthvenów bywają.

Był to straszny cios dla Leonory. Została skompromitowaną bez własnej winy, podstępnie Co sobie u Ruthvenów o niej pomyślą? Świat w to nie uwierzy, że ją Arteveldt ściągnął podstępem. W jakiem świetle przedstawi się ludziom? Domyśliła się, że pani Warren uknuła ten szatański podstęp i uczuła dla tej kobiety największą pogardę. Arteveldta nienawidziła w tej chwili i pogardzała nim jeszcze bardziej. Ale cóż pomogą pogarda i nienawiść? Będzie narażona na obmowę, może nawet i Ruthvenowie i najlepsza przyjaciółka Kate Scaton, stracą dla niej szacunek?

Leonora zawsze taka silna, taka niemal żelazna, teraz czuła się jakby złamaną.

Wszystkie te uczucia: oburzenia i wstrętu, nienawiści i wstydu — dobywały się z głębi serca na twarz i tak się na niej wypisywały wyraźnie, że Arteveldt nie mógł ich nie wyczytać. Sam siebie teraz przeklinał w duchu, bo lęk go ogarniał, że niegodziwy podstęp oddali go raczej od Leonory na zawsze, aniżeli z nią połączy.

— Panno Leonoro! ponowie zaklinam, wybacz pani!

— Wiedziałeś pan dobrze o tem, że jestem sierotą, że nie mam nikogo, ktoby się za mną ujął; wiedziałeś pan, że cześć moja jest jedynem mojem dobrem, jedynem mieniem, jedynem szczęściem. I na to wszystko targnąłeś się w sposób niegodny honorowego mężczyzny. Pańskie postępowanie jest wprost rozbojem moralnym.

— Ocali pani cześć, zostając moją narzeczoną. Rozpowiem przyjaciołom i znajomym, powiem w domu Ruthvenów, żeśmy się zaręczyli i poszli do kabalarki, która mieszka w tym domu, a tylko przypadkowo dostaliśmy się domu gry.

Leonora namyślała się długo, potem rzekła siląc się na spokój:

— Istotnie, masz pan słuszność Muszę zostać pańską narzeczoną.

Arteveldt nie spodziewał się tak szybkiej decyzyi, więc uszczęśliwiony, drżący ze wzruszenia, zbliżył się do Leonory i chciał ją ująć za rękę.

— Zawcześnie panie Arteveldt. Proszę odłożyć wszelkie te objawy miłości aż do czasu, gdy pańską żoną zostanę Tego żądam, tego wymagam. Jest to jedyny warunek, pod jakim skłonłam się zostać pańską narzeczoną.

VIII.

Niespodziane zaręczyny Leonory były dla wszystkich zdumiewającą zagadką. Tłomaczono ją sobie w rozmaity sposób. Kate Scaton, Ruthvenowie i ci, którzy mieli sposobność dokładnie ją poznać, upatrywali w tej nagłej decyzyi objaw energii i stanowczości, inni sądzili rzecz po swojemu. Bogaty Arteveldt był tak ponętną partyą nawet dla posażnych panien, że nie dziw, iż panna uboga tem chętniej została jego narzeczoną.

Kate Scaton, nie wiedząc o niczem, nie domyślając się podstępu Arteveldta, cieszyła się bardzo, że jej przyjaciółka „robi tak świetną partyę".

Dziwiła się atoli, widząc obojętność Leonory dla narzeczonego, ale tłomaczyła to sobie po części tem, że Leonora przez delikatność nie chce w cudzym domu pozwalać sobie nawet tej swobody, do jakiej najzupełniejsze miała prawo jako narzeczona. Po części składała też przyczynę tej obojętności na niezwykły charakter swej przyjaciółki.

Arteveldt chcąc nie chcąc musiał się godzić z losem, pocieszając się nadzieją, że po ślubie wszystko się zmieni. Tymczasem zajmował się

skrzętnie urządzaniem mieszkania, zaniechawszy zupełnie uczęszczania do klubów.

Raz wieczorem wrócił Stuart do domu nieco wcześniej niż zwykle bo miał się udać do Durandów na herbatę. Właśnie co zrzucił z siebie ubranie kobiece po wizycie u Braudmardina, gdy niespodzianie zjawił się u niego Arteveldt.

— Co się z panem dzieje? — zapytał jeszcze w progu. — Nigdzie pana nie widuję. Mówił mi Fergus, że pan teraz bywa niemal codziennie u Durandów.

Stuart słuchał tego z niemałem zdziwieniem, bo sobie nie umiał wytłomaczyć, skąd Fergus o tem wie, skoro tam nie bywa. „Trzeba się mieć na baczności“, pomyślał. „To opiekowanie się Fergusa moją osobą, jest mi bardzo podejrzane“.

— Rzeczywiście panie Arteveldt, od czasu pańskich zaręczyn nie widzieliśmy się podobno. No, i bardzo pan szczęśliwy? Może mię pan zechce przedstawić swojej narzeczonej? Muszę sobie koniecznie wybrać jakiś wieczór i spędzić go u Ruthvenów, żeby się pannie Armyn przedstawić.

— Bardzoby mi to pochlebiało — odpowiedział Arteveldt z niejakiem zakłopotaniem — ale moja narzeczona stanowczo zażądała, abym przyjaciół i znajomych nie przedstawiał wcześniej, aż po ślubie. Właśnie przybywam zaprosić pana na ślub i wesele i to już za trzy tygodnie.

— Tak prędko?

— Ach panie, dla mnie i to za długo. Wynająłem już dom w najpiękniejszej dzielnicy i urządzam go po królewsku. To mię cokolwiek dziwi że moja narzeczona domaga się zbytku i wykwintu, czego się po panience skromnej i nieposażnej nie było można spodziewać. Chociaż mię to dziwi, jednak nie odmawiam jej niczego i zaspakajam wszystkie kaprysy. Nasze mieszkanie będzie niezawodnie najwspanialsze w całem mieście. Musi je pan jak najprędzej zobaczyć.

— A czy mama pańska już się z tem pogodziła? Przypominam sobie, że było matki pańskiej gorącem życzeniem, żeby się pan ożenił z panną Durand.

— Istotnie, matka moja sobie tego życzyła, ale ja nie miałem wcale zamiaru żenić się z panną Laurą. Jednak skoro już o tem mowa, będę miał prośbę do pana. Pan już na takiej przyjacielskiej stopie u Durandów, że to nie będzie niewłaściwe, jeżeli pan od niechcenia wybada pannę Laurę, co też ona myśli i mowi o mojem małżeństwie z panną Armyn.

— Cóż panu na tem zależy?

— Ot tak, właściwie nic — jąkał się Arteveldt — ale bądź co bądź bywałem tam częstym gościem, uważano mię za przyjaciela.

— A świat uważał pana za narzeczonego — dodał przerywając Stuart.

— Mylnie, mylnie, jak już panu tyle razy mówiłem. Ale niech się pan dowie, bardzo proszę. Ot, tak od niechcenia, w rozmowie obojętnej. A teraz, ponawiam zaproszenie na ślub i wesele.

Arteveldt wyszedł, a Stuart zastanawiać się zaczął nad tem, dlaczego właściwie do niego Arteveldt się udał z prosbą o wybadanie panny Durand.

Przebrawszy się poszedł do Durandów, gdzie go już z upragnieniem wyczekiwano, bo istotnie stał się tam ulubieńcem całego domu.

— Czy pani widziała już narzeczoną Arteveldta? — zapytał Stuart Laury obojętnie.

— Nie miałam tej przyjemności — odpowiedziała Laura na pozór obojętnie, a jednak z przekąsem. — A pan?

— Także nie.

— Właściwie należało mi być drużką — mówiła Laura dziwnie się śmiejąc, — boć to przecie pan Arteveldt bywał u nas tak częstym gościem, że należał już jakby do rodziny.

— Widziałem dziś Arteveldta; opowiadał mi, jak po królewsku urządza mieszkanie.

— Skoro majątek mu na to pozwala, dlaczegóż sobie nie ma na to pozwolić?

Tą udaną obojętnością nie dał się Stuart wywieść w pole, bo wyczytał i z oczu i z twarzy panny Durand, jak bardzo wysila się na to, aby ukryć zazdrość i żal.

„Takie tłumione wulkany wybuchają strasznie“, myślał Stuart. „Wygląda mi to na początek jakiegoś dramatu“.

* * *

Matka Arteveldta ani mówić sobie o tem nie dała, aby syn mógł się ożenić z jakąś zupełnie obcą, biedną dziewczyną nieznanego pochodzenia.

Raz nawet było bardzo przykre starcie matki ze synem, gdy pani Arteveldt oświadczyła, że się uda do „owej podstępnej intrygantki“, która jej syna zbałamuciła i wręcz jej oswiadczy, że jej nigdy za synową nie uzna.

Arteveldt, wiedząc że matka zawsze to wykonuje, co postanowi, wyprawił natychmiast do narzeczonej posłańca z następującym listem:

„Najdroższa Leonoro! Matka moja sprzeciwia się naszemu małżeństwu i pragnie cię osobiście nakłonić do tego, abyś się mnie wyrzekła. Nie daj



— Panie Arteveldt! — to było niegodziwie!

się zachwiać; matka moja widząc twoją stanowczość, w końcu się zgodzi. Zresztą jestem zupełnie niezawisłym, posiadam własny majątek, więc nie potrzebujesz się lękać niedostatku. Prawdopodobnie matka moja jeszcze dziś będzie u ciebie; bądź więc przygotowaną. Twój wierny aż do śmierci Frank“.

Leonora przeczytała ten list z pogardliwym uśmiechem i wrzuciła go w ogień.

O godzinie piątej zatrzymał się wspaniały ekwipaż przed domem Ruthvenów i dumna wykwintnie ubrana pani Arteveldt weszła do mieszkania.

— Czy mogę się widzieć z panną Leonorą Arnyn? — zapytała wyniośle.

Pokojówka wprowadziła ją do saloniku.

Przypatrywała się wdowa po milionerze temu salonikowi z politowaniem i lekceważeniem. Była pewną, że Leonora natychmiast zjawi się w salonie, dowiedziawszy się o jej przybyciu, ale upłynęło już dziesięć minut, a „owa intrygantka“ jeszcze się nie pokazała.

To było za wiele dla dumnej kobiety i wprawiało ją w takie rozdrażnienie, że była gotową do wybuchu niegrzeczności.

Aż wreszcie drzwi się rozwarły, weszła Leonora zimna, poważna. Ukłoniła się uprzejmie, ale z książęcą dystynkcyą. Pani Arteveldt nie spodziewała się tego wrażenia, jakie Leonora na niej wywarła. Musiała przyznać, że narzeczona jej syna jest postacią niepospolitą, majestatycznie piękną, mającą w swej postawie jakąś siłę, która do uszanowania zmusza.

— Panna Leonora Arnym?

Leonora skłoniła głową.

— Jestem matka Franka Arteveldta.

— Domyślałam się tego — rzekła Leonora zimno, obojętnie.

— Przybywam tutaj, aby pani osobiście oświadczyć, że jestem stanowczo przeciwną małżeństwu mojego syna z panią.

— Mogę nad tem tylko ubolewać — mówiła Leonora chłodno i z lekceważeniem.

— Więc miałabyś pani odwagę poślubić mego syna bez mego zezwolenia?

— Tak pani.

— I chcesz się pani wedrzeć między matkę i syna? Chcesz zdeptać mój spokój rodzinny? Znasz mego syna zaledwie kilka tygodni, więc go pokochać nawet nie miałaś czasu, a miłość tylko udajesz.

— Mylisz się pani. Miłości nie udawałam i nie udaję i stanowczo oświadczam, że syna pani wcale nie kocham.

To był cios dla matki niespodziany, a straszuie dotkliwy. Poczerwieniała z gniewu, ale się powściągnęła od wybuchu.

— Skoro się odemnie dowie o tem, coś pani w tej chwili powiedziała, wyrzeknie się nierozważnych postanowień.

— I teraz mylisz się pani.

— Jesteś pani zbyt pewną siebie. Chociaż Frank jest moim jedynym synem, jest jedynem szczęściem mojem, chociaż go kocham najtkliwszą miłością macierzyńską, przecież zdołam mu się sprzeciwić. Na to małżeństwo nie zezwolę nigdy. Słyszysz pani: nigdy, powiadam. Pani polujesz na majątek mojego syna i omotałaś go zręczną kokieteryą. Jeżeliby się odważył ożenić, noga pani w domu moim nie postoi nigdy i nigdzie w towarzystwie nie będziesz się mogła pokazać.

— Ani mnie to nie wzrusza, ani nie zastrasza, co pani w tej chwili powiedziała. Czy pani się zgodzi lub nie, to dla mnie zupełnie obojętne i żoną pana Arteveldta zostanę. Powiedziałam pani, że go nie kocham, bo ten wyraz miłość za słaby, aby nim określić to, co uczuwam dla pani syna. Majątku jego wcale nie potrzebuję, jak się pani o tem wkrótce przekona.

Leonora mówiła zimno, stanowczo, z odcieniem sarkazmu, ale tak spokojnie, że matka Arteveldta aż się ugniała pod siłą tego spokoju. Czuła, że jej gniew, że jej ton niegrzeczny, są niedołężną bronią wobec takiego przeciwnika jak Leonora. I to ją upokarzało, a upokorzenie drażniło coraz bardziej. Więc jeszcze niecierpliwiej odpowiedziała:

— To puste słowa moja pani. Nikt temu nie uwierzy; przechwałki nawet zuchwałe. Sądzisz pani, że niemi prawdę zasłonisz? Nietylko nie zezwolę na to małżeństwo, ale nawet mu przeszkodzę.

— To się pani nigdy nie uda — odpowiedziała Leonora i zlekka zaczęła się podnosić z fotelu.

Arteveldtowa, spostrzegłszy ten ruch, zrozumiała, że Leonora dalszych niegrzeczności słuchać nie zechce i że ją samą w salonie zostawi. Nie chcąc się narażać na takie upokorzenie, powstała prędko, pożegnała Leonorę wymuszonem skinieniem głowy i wyszła.

Przez kilka dni wysilała się Arteveldtowa, ażeby syna odwieść od małżeństwa. Nie pomagały atoli ani groźby, ani zaklęcia, Frank był niezachwiany w postanowieniu. Ażeby zakończyć wszelkie dalsze dyskusye, rzekł pewnego razu bardzo stanowczo:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zamach na pułkownika żandarmeryi.

Jednym z wybitniejszych aktów terorystycznych w ostatnim czasie w Królestwie Polskiem był zamach dokonany na pułkownika żandarmeryi von Plotto, naczelnika radomskiej „ochrany".



Zamach na pułkownika żandarmeryi: Naczelnik radomskiego zarządu guberni lnego żandarmskiego pułkownik von Plotto.

Kiedy von Plotto przejeżdżał jedną z ulic Radomia — jak zwykle, pod eskortą dragonów — z chodnika rzucono bombę, która eksplodowała z niesłychaną siłą. Ciężko ranionego von Plotto przewieziono do domu, gdzie po kilkunastogodzinnych męczarniach zmarł. Domniemanego uczestnika zamachu, ucznia szkoły handlowej, Wernera, ujęli żołnierze i w parę dni po zamachu, został on wyrokiem sądu polowego rozstrzelany.

Pułkownik von Plotto urzędował przedtem w Piotrkowie, gdzie odznaczał się niezmierną gorliwością. Jako żandarma niezmiernie czynnego przeniesiono go do Radomia, gdzie również gorliwie pracował do śmierci. Podobiznę jego podajemy w dzisiejszym numerze.



Kleszcz »Pogotowia« warszawskiego: Icek Gajgenholc.

Tryumf Polki we Włoszech.

Pani Salomea Kruszelnicka, piękna Lwowianka, w której do niedawna przez kilka lat kochała się cała Warszawa, póki wielka artystka śpiewała stale w tamtejszej operze, występuje teraz we Włoszech z niesłychanem powodzeniem. Nadzwyczajne zaciekawienie w świecie artystycznym wywołała przed kilku dniami zapowiedź, iż w nowej operze Straussa pt.: „Salome" odtworzy Kruszelnicka rolę tytułową na scenie słynnej La Scali w Medyolanie. Pierwsze przedstawienie opery „Salome" wyznaczyła dyrekcya teatru „La Scala" na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, tj. na dzień św. Szczepana, który ma dla teatrów włoskich z tego powodu ważne znaczenie, że jest zwykle początkiem karnawału. Wbrew swojemu zwyczajowi, dyrekcya już w poprzedni piątek, na wzór Paryża, urządziła próbę generalną, na którą zaprosiła swą stałą publiczność. Chodziło o to, żeby „Scali" nie ubiegł teatr królewski w Turynie i żeby ewentualnie złe przyjęcie nowej opery nie wpłynęło ujemnie na opinię Medyolanu. Obawa ta okazała się płonną, gdyż w Turynie, gdzie sam Strauss dyrygował, miała „Salome" już ogromne powodzenie. Nie inaczej było w Medyolanie, gdzie próba generalna zadecydowała odrazu o powodzeniu. Pani Kruszelnicka wywołała istny entuzyam swą kreacyą niezwykle trudnej partyi Salome. Korespondent medyolański dziennika „Frankfurter Zeitung" pisał że, „przedstawienie w „La Scali" było bardzo dobrze przygotowane i zasługiwało na wielkie pochwały. Wspaniała strona zewnętrzna odpowiadała starej tradycyi teatru. Najtrudniejszą rolę tytułową objęła Polka, pani Kruszelnicka. W grze swojej z wyrazem zmiennych pożądliwych oczu i zbrodniczego pochlebstwa najpierw wobec Narrabota, później wobec Johanana, była zupełnie nerwową, zwyrodniałą istotą z dramatu Wildego. Również śpiew jej świetny zadowolił publiczność pod każdym względem". W ten sposób pisali obcy o naszej wielkiej artystce. W dziennikach włoskich pojawiły się wszędzie recenzye entuzyastyczne, a tygodniki illustrowane umieściły fotografie znakomitej śpiewaczki w roli Salome (jaką i my tu zamieszczamy), podpisując je nazwiskiem „Krusceniski" (gdyż Włosi nie potrafią wymówić „Kruszelnicka").



Tryumf Polki we Włoszech: Salomea Kruszelnicka, jako »Salome« w operze medyolańskiej.

Kleszcz „Pogotowia" Warszawskiego.

W dziennikach warszawskich często zdarza się czytać o Icku Gajgenholcu, który ciągle niepokoi Pogotowie ratunkowe. Ten Icek, to istotna plaga, kleszcz Pogotowia ratunkowego. Bezdomny nędzarz, wydrwigrosz, symulant, kiedy wyczerpie środki, zdobyte podczas jednego występu, urządza drugi. Program zwykle jeden i ten sam: kładzie się na chodniku i symuluje chorego. Półnagi, bez względu na temperaturę żebrak, oczywiście budzi litość w przechodniach, którzy przedewszystkiem spieszą do telefonu, wezwać Pogotowie ratunkowe, ażeby bezprzytomnego przyprowadziło do zmysłów. Ponieważ wezwania są nagłe, lakoniczne, Pogotowie nieraz parę wiorst, na drugi koniec miasta przyjeżdża, ażeby się przekonać, że rzekomym chorym jest ów kleszcz Pogotowia Icek Gajgenholc. Kiedy na widok lekarza, symulant zaczyna odzyskiwać przytomność, przejęta litością publiczność sięga do kieszeni i wówczas do garści pomysłowego Icka sypią się miedziaki, a nieraz i srebro. A że karetka Pogotowia zwabia zwykle liczne rzesze ciekawych, więc zarobki Gajgenholca są dość znaczne. Traci tylko Pogotowie, które zmuszone jest nieraz po 2–3 razy dziennie jeździć do symulanta Gajgenholca umieszczano niejednokrotnie w przytułkach dobroczynnych, ponieważ jednak Warszawa nie posiada jeszcze domów zarobkowych, osobniki w tym rodzaju musi znosić cierpliwie.

Kronika tygodniowa.

Zaznaczyliśmy w poprzedniej „Kronice tygodniowej“, że sprawa wyodrębnienia Chełmszczyzny przyjęła dla nas zły obrót. Ostatnie wiadomości są nieco pomyślniejsze; postanowiono bowiem sprawę tę przedłożyć do rozstrzygnięcia Dumie państwowej. Pozostała więc pewna nadzieja, co prawda niewielka. Jaki będzie skład Dumy, tego nie odgadnie dziś żaden prorok, choćby nim był nawet słynny O. Joan Kronsztadzkij, co czyni cuda na poczekaniu i błogosławi konie i inne zwierzęta cyrkowe. Zresztą choćby zwyciężyli powtórnie „kadeci“ ze skrajnemi partyami lewicy, powinniśmy być dalecy od złudzeń. Czułości, jakie nam te stronnictwa prawiły w czasie przeddumowym, rozchwiewały się z dniem każdym — dziś pozostały z nich strzępki. Nic nie zapowiada, aby się powtórzyła druga serya wynurzeń miłosnych. Możemy liczyć jedynie na rozsądek polityczny Dumy, na zrozumienie, że interes państwowy wymaga usuwać powody jątrzenia narodowości. Ale czy Duma zdobędzie się „na rozsądek polityczny“ i na „zrozumienie interesu państwowego“ — wątpić należy. Cała doktrynerska działalność pierwszej Dumy zdaje się temu przeczyć. A choć część opozycyjnej prasy rosyjskiej przyznaje się do wielu popełnionych błędów i zapewnia, że nauczyła się rozumu, to przecież ta nauka jest jedną z najtrudniejszych i wymaga bardzo wiele nakładu i czasu.

A wybory do Dumy za pasem. Królestwo przygotowuje się do nich z wielką starannością. Staną naprzeciw siebie dwie koncentracye. Jedna (komitet centralny) składa się z demokracyi narodowej, z konserwatystów (byłych ugodowców, nazywających się obecnie partyą „polityki realnej“) i z odłamu postępowców, tworzących „polską partyę postępową“ (P. P. P.). Drugi skrajniejszy odłam postępowców, czyli t. zw. Postępowa Demokracya (P. D.), łączy się z żydami i częścią socyalistów. Zresztą nie wszyscy żydzi idą z nią ręka w rękę, świeżo bowiem ukonstytuował się w Warszawie komitet-żydowski „dla współdziałania (są jego słowa), z komitetem centralnym trzech zjednoczonych stronnictw, stojących na gruncie narodowym“. W spisie członków tego komitetu czytamy nazwiska Bersonów, Natansonów, Peretzów, Przeworskich i t. d.

O kandydatach jeszcze głucho, nie wiadomo nawet kto drugi okok b. posła Nowodworskiego będzie kandydował w Warszawie z ramienia komitetu centralnego. Natomiast blok demokracyi postępowej ogłosił już swoich kandydatów w osobach A. Świętochowskiego i L. Krzywickiego. Proklamowano te kandydatury na zebraniu przedwyborczem w sali Filharmonii. Charakterystycznem było przemówienie jednego ze socyalistów, który oświadczył: „Nienawidzę narodowej demokracyi, ale dla postępowej demokracyi mam pogardę“.

Pocieszającym objawem w Warszawie jest upadek bandytyzmu. Wprawdzie „ekspropriacye“ zdarzają się codziennie, ale już w mniejszych rozmiarach. Natomiast rewizye i ciągłe aresztowania nie ustają. Ale do wszystkiego „przyzwyczaić“ się można, nawet do trucizny. Więc też Warszawa przyzwyczaiła się do swego stanu, a zmniejszony bandytyzm wydaje jej się zapowiedzią raju ziemskiego. Więc zaczyna żyć wesoło, bawić się, tańczyć. Wydrwiona niedawno w Grecyi Izadora Duncan, zabrała w Warszawie 10.000 rubli za swe greckie tańce i za tłomaczenie Chopina bosemi nogami. Warto było czytać zachwyty „Kuryerków“ nad tą damą, aby wiedzieć, do jakich szczytów dojść może naiwność i reklama reporterska. Za to w Łodzi coraz smutniej. Sześć wielkich fabryk bawełnianych, zatrudniających 25 000 robotników, ogłosiło lokaut, a więc koło 100 000 ludzi (licząc rodziny) stanęło wobec widma głodu. To też przerażające są opisy tego, co się dzieje w „polskim Manchesterze“. Straszna nędza, rozpacz, walka bratobójcza — oto skutki tej nieszczęsnej „polityki“, prowadzonej niby dla szczęścia klasy robotniczej.

Odwróćmy oczy od tego obrazu i zajrzyjmy do najstarszej naszej dzielnicy, do Wielkopolski. Prześladowanie dzieci polskich trwa dalej, ale przybrało, zdaje się, nieco łagodniejsze formy; nie należy jednak z tego sądzić, że Prusacy chcą choć trochę liczyć się z opinią świata cywilizowanego. Jest to raczej chwilowy odpoczynek, dla nabrania nowych sił i obmyślenia nowego, ulepszonego systemu do walki w imię „ideałów niemieckich“. Zresztą w tej chwili trudno zajmować się dziećmi, choćby tak buntowniczemi, wobec potrzeby zgniecenia większych „wrogów“ państwa, jakimi są socyaliści, centrum, Welfi i Polacy. Kto tylko z Prusaków czuje w sobie choćby resztki krzyżackiego ducha, idzie na tę „świętą wojnę“, zwaną wyborami do parlamentu. Więc „grzmią moździerze, grają haubice, huczą krzyżackie bluźnierstwa“. „Sylwestrowy list“ p. Bülowa był hasłem do ataku na całej linii. Tymczasem wszyscy wrogowie mają dobre miny, a najlepsze może Polacy, bo spodziewają się nietylko pozostać przy dotychczasowych mandatach, ale zdobyć sobie nowe na Śląsku. Ztąd rozpacz między „istinno-pruskimi“ i ucieczka o pomoc do... języka polskiego. Tak jest, w tym znienawidzonym języku pokazała się na Śląsku odezwa za kandydatem hakatystów, jeneralnym dyrektorem Remym. Autorzy odezwy zapewniają, że to jest „nieprzystojne twierdzenie“, jeżeli ktoś „przepowiada“ Polakom, że ich mowa i wiara jest „zaniebezpieczona“. „Niegodnie (mówi dalej odezwa) i niesłusznie jest wiarę na zamówkę brać w politycznych sprawach... Górnośląsko ma swoje osobliwie gospodarcze znaczenie i rozwinięcie niemieckiej pilności, niemieckiej czynności i niemieckich obyczajów do podziękowania. Kiedy my zaś tę dla Górnego Śląska wcale cudzą narodową polszczyznę zwyciężamy, to postępujemy przytem tak z patryotycznym warunkiem, jak dla korzyści śląskich robotników, gdyż ich gospodarcze i umysłowe postępy tylko pod pomocą niemieckiej kultury możne są...“

A co? czy nie po polsku? Widocznie hakatyści chcą nietylko, abyśmy byli Prusakami „polskiego pochodzenia“, ale pracują nad stworzeniem języka pruskiego „polskiego pochodzenia. Pozwolimy sobie na „nieprzystojne twierdzenie“, że dla niemieckiej kultury takie zakusy „możne są“ i nasz język byłby rzeczywiście „zaniebezpieczony“, gdyby jego czystości nie broniła świetnie rozwijająca się, szczerze patryotyczna prasa polska na Śląsku, gdyby duchowieństwo, wyszłe z ludu, nie poczuwało się coraz więcej kością z kości narodowej.

Więc miejmy nadzieję, że nie zwyciężą „patryotyczne warunki pod pomocą niemieckiej kultury“ i że najwyższe sfery w Berlinie spotka jedno więcej rozczarowanie. A dla tych sfer trzeba mieć współczucie. Niedawno cesarz Wilhelm zapowiadał, że nie postoi nogą w zamku berlińskim, jeżeli socyalista wybranym zostanie w pierwszym okręgu stolicy, teraz znowu zagroził Wiesbadenowi, że go nigdy nie odwiedzi, jeżeli w nim zwycięży socyal demokrata. Jeżeli taka kara będzie spotykała wszystkie miejscowości, które wybiorą „wrogów państwa“, to niezadługo monarsze niemieckiemu będzie bardzo ciasno w swoich dziedzinach i przyjdzie mu może osiąść w jakich Katowicach, gdzie podobno rządowiec ma wybór zapewniony. Zyskałby na tem o tyle, że mógłby odwiedzać bliski Kraków i śledzić naocznie gromadzącą się w nim polską „iryedntę“.

Tak jest. Korespondent „Kölnische Zeitung“, który niedawno zawadził o Kraków, twierdzi, że w nim „zbierają się wszystkie nici rewolucyjnych organizacyj, które obejmują Poznań, Śląsk, całą Polskę, zmierzają do odbudowania ojczyzny od Gdańska do Odesy i Morza Czarnego. Tu, u grobów królów polskich, rozbudza duchowieństwo wogłupiałym, fanatycznie wierzącym komorniku (?) nienawiść do Rosyan i Niemców.

Co to znaczy bystrość spostrzegawcza niemiecka! My tu w Krakowie siedzimy i nic o tem nie wiemy. Ale teraz to nam się otworzą oczy i będziemy patrzeć uważniej. Kto wie, czy nowy „klub radziecki“ nie jest właśnie ową rewolucyjną organizacyą. Nie ulega wątpliwości, że ma go za taką pan prezydent Leo. Zresztą proszę spojrzeć na marsowe postacie członków tego klubu. Nie chcemy wymieniać nazwisk, ale niech każdy obywatel krakowski sam sobie w myśli ustroi członków tego klubu w powstańcze mundury, niech ich uzbroi (również w myśli) w odtylcówki, szable, rewolwery i kartaczownice, niech ich w myśli wsadzi na koń, a przyzna chyba, że trudno byłoby znaleźć na świecie świetniej skompletowany oddział partyzancki. (W tem miejscu czyni mi ktoś uwagę, że prędzej możnaby porównać ten klub do ciężkiej artyleryi — ale usuwam na bok tę złośliwość i powracam do korespondenta „Kölnische Zeitung“).

„Obywatele — pisze dalej ten korespondent o Galicyi — rozpajają lud we własnych szynkach, a biada temu chłopu, który zdradzi się przed plebanem lub szlachcicem, że umie czytać i pisać“. Jak widzimy, korespondent ani na milimetr nie mija się z prawdą, więc też powinniśmy przyjąć do podręczników historyi i jego „sprostowanie“, tyczące się Jana Sobieskiego, który nie wiadomo skąd nazywany jest oswobodzicielem chrześcijaństwa, kiedy rola jego w odsieczy Wiednia ograniczała się do niewinnego współdziałania z armią francuską i niemiecką“.

Ale dajmy już pokój tym błazeństwom niemieckim, a podziękujmy naczelnikowi sądu powiatowego we Frydku (księstwo Cieszyńskie) panu Waniczkowi, że chociaż jest gorliwym germanizatorem, chce uratować nam część polskiego ludu przez Czechów wynarodawianego Pan Waniczek nie kocha zarówno nas jak Czechów, ale przekonał się, że spis ludności powiatu frydeckiego jest fałszywy. Spis ten podawał w powiecie frydeckim 39.112 Czechów, 1.639 Polaków i 971 Niemców— tymczasem okazało się, że ludność nie rozumie pism sądowych, przesyłanych jej w języku czeskim. Co to znaczy? spytał pan Waniczek i przekonał się, że w całym powiecie mieszka ludność polska, nie uświadomiona narodowo, którą bracia Czesi tak obałamucili i nastraszyli, że przy spisie ludności podała się za Czechów. Jest to jeden obrazek więcej uczciwej „bratniej“ polityki Czechów na Śląsku austryackim.

Tydzień ubiegający dostarczył tyle faktów, że możnaby napisać „kronikę“ kilometrową — a tu już miejsca niewiele. Trzeba się więc załatwić sumarycznie.

O katastrofie na Jamajce pełno we wszystkich dziennikach a to nas uwalnia na razie od jej opisu. Zresztą nadejdą ryciny i szczegóły, a tych „Nowości“ nie pominą.

Król Piotr w Belgradzie ma ogromnego „piotra“. Serbowie lubią od czasu do czasu zmieniać dynastyę, a właśnie im teraz przyszła na to ochota. Chcą sobie posadzić na tronie któregoś z książąt angielskich, ale Anglicy znają przysłowie: „nie ma głupich!“ więc trzeba będzie zaprosić do konaku jakie książątko niemieckie, a tych jest taka obfitość, że amatorów nie zabraknie.

I potężnonosy Ferdynand nie czuje się bezpieczny i niema ochoty wracać do Sofii, gdzie awantura studencka doprowadziła do rozlewu krwi. Na razie p. Koburg polecił ogłosić stan oblężenia. Może zaprowadzi i sądy polowe.

Ludy austryackie uszczęśliwione zostały podniesieniem porta pocztowego i opłaty telefonowej. Działały tu względy moralne: rząd zauważył, że wzrost pisaniny i gadaniny przybiera zastraszające rozmiary, więc pragnął temu zaradzić energicznymi środkami.

Podwyższenie płac urzędniczych jest zadecydowane dzięki nagłej a niesłychanej miłości p. p. posłów do urzędników. Pan prezydent ministrów powiedział złośliwie: „Pojmuję, panowie posłowie, wasze dobre serca dla urzędników, waszych przyszłych wyborców...“

W Rosyi sprzedaż kart do gry przyniosła rządowi w roku zeszłym o 710 000 rb. więcej. Widocznie „prawdziwi Rosyanie“ uważają karty za dobry środek „uspokojenia nerwów“ w czasach rewolucyjnych. Zwracamy na to uwagę p. p. lekarzy.

Zniesienie zakazu kolportażu spadło z porządku dziennego obrad parlamentu. Austrya musi się przecie czemś wyróżniać wśród wszystkich państw europejskich!

W Krakowie mamy gorące mrozy, to jest, chciałem powiedzieć, wielkie mrozy i gorące zjazdy stronnictw. W ubiegłym tygodniu był naprzód zjazd centrum ludowego, który uchwalił, że tylko w jego obozie jest Polska, a potem zjazd ludowców (Bojko — Stapiński), który uznał, że Polska jest tylko w jego obozie. Wogóle wszystkie stronnictwa anektują Polskę wyłącznie dla siebie — i bodaj czy nie w tem jest przyczyna, że wciąż rozrywana, nigdy się skupić nie może.



Śmierć zasłużonego ministra.

Zawód wychowawczy należy do najtrudniejszych, najmniej się opłacających i wogóle najniewdzięczniejszych zawodów. To też ludzie, którym udało



Smierć zasłużonego ministra: Ś. p. Wilhelm Hartel, były minister oświaty w Austryi.

się wytrwałą pracą nietylko zdobyć sobie stanowisko, ale także zaskarbić miłość i szacunek u swoich uczniów, należą w sferze pedagogicznej do białych kruków.

Jednym z takich zasłużonych pedagogów był niedawno temu zmarły, pozasłużbowy minister oświaty, Wilhelm Hartel, jeden z najtęższych filologów współczesnych, profesor wiedeńskiego uniwersytetu, wiceprezydent wiedeńskiej Akademii Umiejętności i dyrektor Biblioteki nadwornej, którego podobiznę dzisiaj podajemy.

Znakomity uczony pochodził z Moraw, gdzie urodził się w 1839 r., jako syn niezamożnej rodziny wieśniaczej niemieckiej. Już w 1866 r. habilitował się na docenta filologii klasycznej w uniwersytecie wiedeńskim, a później został prywatnym nauczycielem i wychowawcą znanego mecenasa sztuki, członka Izby Panów, hrabiego Karola Lanckorońskiego. Następnie został nad zwyczajnym, dalej zaś zwyczajnym profesorem wiedeńskiego uniwersytetu na katedrze filologii klasycznej, po powołaniu Vahlena na takie samo stanowisko do Berlina.

Jako wykładający na tej katedrze położył śp. Hartel niespożyte zasługi, wykształcił bowiem w duchu nowożytnym niejedną generacyę tęgich nauczycieli szkół średnich.

W roku 1891 powołany został znakomity uczony na stanowisko dyrektora Biblioteki nadwornej i na tem stanowisku znów okazał się uczonym i nader sumiennym bibliotekarzem w rodzaju naszego Estreichera.

Po trzydziestu latach służby rządowej mianowano go szefem sekcyi w ministerstwie oświaty. W roku zaś 1900 wszedł do gabinetu Körbera, jako minister oświaty. Za jego rządów zaprowadzono nową pisownię niemiecką, powiększono fundusze stypendyjne, przeznaczone na kształcenie nauczycieli za granicą, oraz wprowadzono wiele zmian korzystnych w organizacyi szkół średnich austryackich. Śp. Hartel, pomimo że był znakomitym filologiem, nie zapoznawał doniosłego znaczenia szkół realnych i był ich wielkim protektorem.

Względem Polaków okazywał zmarły uczony dużo sympatyi i odwiedzał zarówno Lwów, jak i Kraków kilkakrotnie w charakterze najwyższego kierownika sprawami oświaty w Austryi.

Bracia szacha w Wiedniu.

Z okazyi śmierci szacha perskiego Muzaffered-Dina przypomniały dzienniki wiedeńskie, iż świeżo zmarły „król królów" miał pewną skłonność do Wiednia, co między innemi objawiało się w tem naprzykład, iż wszystkich swych krewnych zwykł



Bracia szacha w Wiedniu: Najmłodsi bracia zmarłego szacha perskiego.

namawiać do posyłania synów na studya do stolicy austryackiej.

Synowie szacha kształcili się w wyższych zakładach naukowych wiedeńskich, podobnie jak najmłodsi bracia monarchy. Zamieszczamy tu właśnie fotografię, na której widać w towarzystwie guwer-



Fot. nadw. N. Lissa.

Poświęcenie gmachu Tow. politechnicznego we Lwowie: Wydział Tow. politechnicznego wraz z gośćmi; w środku prezes prof. Syroczyński (1), po lewej twórca gmachu architekt Rawski (2).

nera p. Józefa Pflanzla, dwóch książąt perskich. Starszy siedmnastoletni nazywa się Hussin Ali-Mirzo Jemin-ed-Dowle, drugi młodszy o rok od niego nosi imię nie krótsze: Sułtan Achmed Mirza-Azd-es Sultana. Są to dwaj najmłodsi z licznych braci zmarłego szacha. Obaj przez cztery lata pozostawali w wojskowej akademji Terezyańskiej w Wiedniu i po ukończeniu jej opuszczali w roku ubiegłym stolicę naddunajską z wielkim żalem.

Poświęcenie gmachu Tow. politechnicznego we Lwowie.

Po 28 latach wybitnej działalności osiadło lwowskie Towarzystwo politechniczne we własnem gnieździe, we wspaniałym, prześlicznym gmachu, wzniesionym przy ul. Zimorowicza. Przed kilkunastu miesiącami podaliśmy w „Nowościach" zdjęcie fotograficzne z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod ten gmach, a dziś zamieszczamy rycinę, przedstawiającą wydział Towarzystwa politechnicznego, zebrany w otoczeniu delegatów innych towarzystw, oraz gości w dużej, pięknej sali wykładowej, nowego gmachu. Uroczystość ta odbyła się w sobotę ubiegłego tygodnia przy udziale ks. arcybiskupa Bilczewskiego, namiestnika hr. Potockiego, marszałka St. hr. Badeniego oraz wielu przedstawicieli rozmaitych instytucyj.

Aktu poświęcenia dokonał ks. prałat Lenkiewicz, poczem prezes Tow. prof. Leon Syroczyński wygłosił dłuższą mowę, przedstawiając w niej historyę budowy własnego gmachu i podnosząc zasługi autora projektu, architekty p. Rawskiego, który był również kierownikiem budowy. Dalszy ciąg uroczystości wypełniły przemówienia delegatów oraz odczyt prof. Dzieślewskiego o rozwoju techniki.



Fot. W. Lis w Krakowie.

Biuro pośrednictwa pracy w Krakowie: Widok gmachu miejskiego przy placu Jabłonowskich, gdzie mieści się nowy urząd pośrednictwa pracy.



Zamach polityczny w Łodzi: Rotmistrz żandarmeryi Żadko-Andrejew, zastrzelony przez rewolucyonistów.

Biuro pośrednictwa pracy w Krakowie.

Za rządów prezydenta Lea przybywają Krakowowi, jedne po drugich, nowe instytucye publiczne, wielce pożyteczne i prawdziwie pożądane. W całem tego słowa znaczeniu taką właśnie instytucyą jest świeżo powstałe w naszem mieście biuro pośrednictwa pracy, którego uroczyste otwarcie odbyło się w niedzielę, wobec licznego grona zaproszonych gości i przedstawicieli władz miasta Krakowa, oraz powiatów sąsiednich, podgórskiego i wielickiego, należących do nowego urzędu okręgowego. Największe to z biur lokalnych tego rodzaju w kraju naszym, mieści się w osobnym budynku miejskim przy placu Jabłonowskich pod l. 18, któ-



Fot. W. Lis w Krakowie.

Biuro pośrednictwa pracy w Krakowie: Akt poświęcenia nowego biura okręgowego pośrednictwa pracy.

rego fasadę widać na załączonej fotografii. Aktu poświęcenia dokonał proboszcz miejscowy, ks. kanonik Błonarowicz, który następnie w pięknych słowach wyraził uznanie miastu za stworzenie urzędu, o tak doniosłem znaczeniu socyalnem. Z kolei jako gospodarz przemawiał predydent dr Leo o celach nowego biura pośrednictwa, które będzie działało tem intenzywniej, że łączy terytoryum przemysłowo handlowe miejskie, oraz dwa okręgi wiejskie o typie rolniczym. Jako dalszy cel zakreśliło sobie biuro pośrednictwo służby domowej, a później nawet pośrednictwo mieszkaniowe. Dr. Leo poruczył kierownictwo urzędu jednemu z najzdolniejszych wśród młodszych urzędników magistratu, dr. Kumanieckiemu, a polecił mu — jak to sam zaznaczył w mowie powitalnej w niedzielę — by usunięto z zarządu zarówno politykę, jakoteż wszelki biurokratyzm, by zatem hołdowano zasadzie, iż urząd istnieje dla współobywateli. To też zarząd musi być tani, szybki i rzetelny, a najwyższem zadaniem instytucyi — osiągnięcie zakreślonego celu, ku zadowoleniu tak pracowników jak pracodawców. Niewątpliwie, skoro zarząd biura będzie przestrzegał tych zasad, odnosić się będą najszersze koła ludności Krakowa i sąsiednich powiatów z sympatyą do nowej instytucyi. Dr. Kumaniecki, który nakoniec głos zabrał, wspomniał ze słusznością o tem, iż nieodzownie potrzeba we wspólnym interesie węzłów wzajemnego zaufania, które muszą się jak najrychlej zadzierżgnąć między ludnością a zarządem biura.

* * *

Zamieszczając w niniejszym numerze zdjęcie fotograficzne z aktu poświęcenia nowej instytucyi, składamy jej założycielom i kierownikowi życzenia, by ludność interesowana w jak najkrótszym czasie objawiła zadowolenie zupełne z działalności okręgowego biura pośrednictwa pracy. Jak zaś było ono pożądane, dowód w tem, iż zaraz po otwarciu posypały się zgłoszenia od robotników i pracodawców.

Zamach polityczny w Łodzi.

Przed tygodniem spełniono w Łodzi zamach, który pociągnął za sobą szereg ofiar. Rankiem na rogu ulic Wschodniej i Południowej kilkunastu młodych ludzi podbiegło do idącego z trzema żołnierzami, starszego pomocnika naczelnika żandarmeryi powiatu łódzkiego i łaskiego, Mikołaja Żadko Andrejewa (zamieszczamy jego podobiznę) i dało do niego szereg strzałów rewolwerowych, które rotmistrza powaliły trupem na miejscu, a poraniły towarzyszących mu żołnierzy. Nadbiegły na to patrole kozackie i piesze, które strzelały do uciekających sprawców zamachu, lecz ci zdołali już się ukryć. Natomiast strzały bądź zabiły, bądź zraniły kilka osób przechodzących przypadkiem tamtędy, a nadto padła na bruk nieznanego nazwiska służąca z koszykiem z miasta wracająca, która umarła ze strachu.

Klub atletów w Brooklynie.

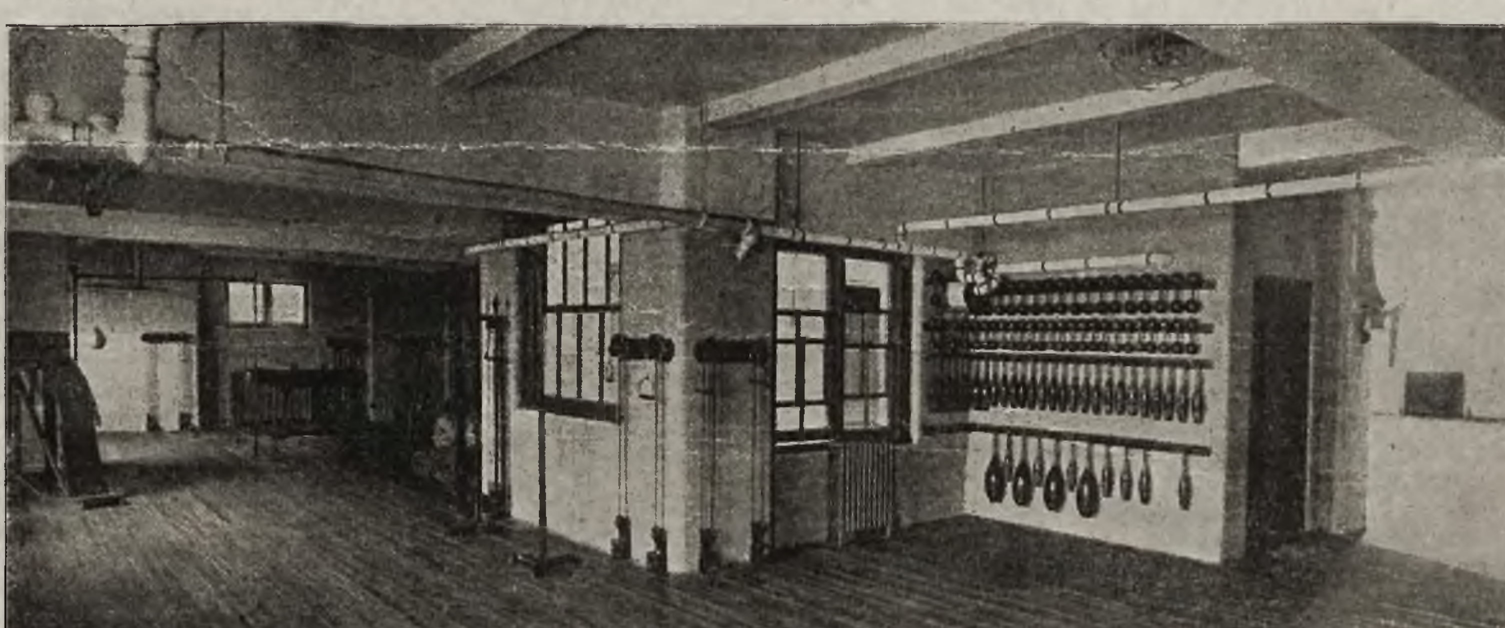
Ameryka północna jest klasycznym krajem wszelkiego rodzaju klubów i stowarzyszeń. Nawet Anglia, która jest „par excellence“ krainą sport uprawiającą, nie może pod wieloma względami mierzyć się z Ameryką północną, a cóż dopiero mówić o innych krajach na kontynencie, gdzie sport jest właściwie w zaczątkach.

Z wyjątkiem wiedeńskiego „Athletiksport-Clubu“, dalej „Madyar Athletical Club“ w Budapeszcie, oraz „Racing Club de France“ w Paryżu, tego rodzaju związki sportowe nigdzie nie posiadają własnych siedzib. W Ameryce północnej natomiast starają się o nie, a zdjęcia fotograficzne, które podajemy w dzisiejszym numerze, dają wyobrażenie o komforcie, z jakim lokują się zwolennicy szlachetnego sportu zapaśniczego w klubie, zwanym „Crescent Athletic Club“, znajdującym się w Brooklynie, jednem z przedmieść Nowego Jorku.

Wnętrze tego olbrzymiego gmachu, liczącego dziesięć pięter (zwracamy uwagę, że na fotografii wygląda, jakoby miał tylko pięć), odpowiada jego zewnętrznemu wyglądowi. Mieszczą się tam bowiem oprócz zwykłych klubowych, wspaniale urządzonych lokalności, specyalne sale fechtunku i gimnastyki, a także rozmaitych ćwiczeń dla siłaczy. Widok jednej z takich sal podajemy obok. Rzecz naturalna, że tego rodzaju klub musi posiadać wielce kosztowny zarząd, ogromnie liczną służbę, co pociąga za sobą wielkie wydatki, a więc mogą doń należeć tylko ludzie bogaci. Pieniędzy wszędzie może dużo, ale w Ameryce najwięcej.



Klub atletów w Brooklynie: Widok dziesięciopiątrowego gmachu, będącego własnością »Crescent Athletic Club«.



Klub atletów w Brooklynie: Sala ćwiczeń siłaczów.

Helena Schupp.

Pewnego rodzaju sensacyę oraz niemałą radość wywołał we Lwowie wśród zwolenników operetki niespodziewany powrót na scenę teatru miejskiego pani Heleny Schupp, niezrównanej divy operetkowej, owej „słodkiej dziewczyny“, której kreacye przez szereg sezonów w taki zachwyt wprawiały publiczność lwowską. Bo Schuppówna, dziecię Lwowa, umiała sobie podbić serca bywalców teatralnych. Zdobyła je odrazu, już swym pierwszym występem w „Dzwonach z Corneville“. I nic dziwnego. Twarzyczka prześliczna, jak malowanie, okraszona rozkosznym uśmiechem, figurka niedużа, ale zgrabna, pełna wdzięku i gracyi, głosik miły, dźwięczny, temperament prawdziwie operetkowy, ale nigdy trywialny, wszystko to były warunki, które

młodej artystce musiały zapewnić powodzenie Schuppównę też nietylko ceniono, ale ją wprost kochano. Rozpoczęła swą karyerę w 1899 r. na scenie jeszcze teatru hr. Skarbka i występowała we Lwowie do końca istnienia tego teatru, a następnie



Helena Schupp.

przez rok w nowym teatrze miejskim. Potem wyjechała do Wiednia, zaangażowana do tamtejszego Carl theatru. Po roku pobytu tam wróciła do Lwowa, już jako zaręczona z p. N., urzędnikiem ministeryalnym Przez kilka miesięcy występowała jeszcze we Lwowie, a w styczniu 1903 r. wyszła za mąż i przeniosła się do Wiednia.

I zdawało się, że scena utraciła ją na zawsze. Losy jednak zrządziły inaczej Bo oto po paru latach przerwy, pani Schupp wróciła na scenę, wróciła tak samo piękna, tak samo czarująca, zawsze uśmiechnięta i pierwszym swym występem w melodyjnej operetce „Słodka dziewczyna“ zdobyła napowrót serca dawnych swych przyjaciół i podbiła nowych Doznała też przyjęcia nad wyraz ciepłego i serdecznego, doznała tyle dowodów sympatyi, że z pewnością powrotu na scenę nie żałuje. A choć dyrekcya teatru pierwsze występy pani Schupp nazwała „gościnnemi“, to jednak powszechną dziś jest już we Lwowie tajemnicą, iż pani Schupp została na stałe na scenę lwowską zaangażowaną. Ile operetka lwowska w pani Schupp zyskuje, ocenią wszyscy ci, którzy mieli sposobność widzieć ją na scenie. *t.*

Andrzej Lelewicz.

Któż nie zna w Galicyi Andrzeja Lelewicza? Poza publicznością teatralną obu miast stołecznych, która do swych stałych ulubieńców zaliczyła tego wybornego artystę, gorąco oklaskiwanego w każdej operetce znają go zresztą wszędzie na prowincyi, bo chyba nie ma miejscowości, gdzieby „Lelek“ nie dał choćby raz swego wieczoru śmiechu Nie zawiódł się nigdy, ilekroć obwieścił afiszami swój przyjazd. Publiczność stawiła się licznie, ufając świetnej firmie i ani razu nie żałowała. Ale bo też talent Lelewicza jest wszechstronny, a program jego wieczoru śmiechu bywa urozmaicony niezwykle. Składają się nań satyry, monologi charakterystyczno komiczne, illustrowane śpiewami i kupletami, wreszcie niezrównane komedye transformacyjne. A wykonawcą całego programu jest zawsze sam Lelewicz, jak kameleon zmieniający się co chwila w inną osobę. Ileż to zdrowego humoru mieć trzeba, żeby tak serdecznie bawić swoich gości przez cały wieczór... I tego właśnie mogą koledzy pozazdrościć Lelewiczowi. Toteż trudno go zastąpić w operetkach, w których raz podziwiała go publiczność. Dlatego po pewnej przerwie musiał on powrócić na scenę lwowską, gdzie znowu, jak dawniej, bawi stałych bywalców. W tych dniach przypomni się „Lelek“ i Krakowianom, na jeden dzień bowiem zawita do swego miasta rodzinnego i da 28 bm. swój wieczór śmie-



Andrzej Lelewicz.

chu w teatrze miejskim. Mają go tu wszyscy w dobrej pamięci, więc nie ma potrzeby zachęcać publiczności. Sama przyjdzie tłumnie, pewna, że się ubawi wesoło...

Z lwowskiego bruku.

(Czemu magistrat odetchnął na mrozie. — Prawda a fałsz. — Niebezpieczna reduta artystów i powód niebezpieczeństwa. — Proces o oszustwo. — Kasa wojenna. — Stand do ministra, czy minister do Standa? — Sensacya teatralna. — »Pan Tadeusz« Wydżgi. — Ustąpienie Krechowieckiego i cofnięcie rezygnacyi.)

Magistrat lwowski odetchnął Po znanej odwilży, która groziła zatopieniem całego miasta, nastały siarczyste mrozy i podczas, gdy przedtem każda połamana noga lub ręka szła na rachunek magistratu z powodu nieusuwania gołoledzi i zasp śnieżnych, dziś poodmrażane uszy i nosy trudno zapisać na minus magistratu, bo magistrat nie może ogrzewać ulic. Wprawdzie śmielsi twierdzą, że z powodu kompletnego braku taniego opału odmrażają sobie nosy i inne wystające członki nawet w mieszkaniu i znów mają sposobność do psioczenia na magistrat, ale są to przeważnie nałogowi malkontenci, którzy chcieliby, aby im prezydent Michalski własnoręcznie w piecu palił, a obaj wiceprezydenci znosili im węgle.

Trudno rozstrzygnąć czy mróz nie wiedział o tem, że nie mamy w mieście żadnego opału, czy też ci, którzy mieli się starać o opał, nie wiedzieli o tem, że mróz przyjdzie tak ostry, dość, że to się jakoś tak zeszło fatalnie, iż właśnie na czas najbardziej mroźny niema w mieście ani drzewa, ani węgla i ludzie zmuszeni są palić w piecu starymi fortepianami, co swoją drogą sąsiadom wychodzi na wielki pożytek.

Fałszem atoli jest, jakoby lwowski magistrat już wcale nie zajmował się tanim opałem miejskim, lecz owszem myśli o nim i czyta o nim nawet bardzo wiele we wszystkich dziennikach, które poświęcają mu stale codziennie po kilka szpalt i nie mają dość słów, aby zagrzać magistrat do zagrzania przemarzniętych mieszkańców.

Mimo to karnawał rozhulał się z tą samą, co mróz, siłą i są we Lwowie ludzie, którzy od Trzech Króli nie wyłażą z fraków. Jednym z najniebezpieczniejszych punktów programu karnawałowego będzie reduta artystów teatru miejskiego w sobotę 26 bm w salonach Kasyna miejskiego. Niebezpieczną będzie ta reduta z tego względu, iż nie ma na świecie takiego wabika, o który nie postaraliby się nasi artyści, aby w sieć swoją złowić jak najwięcej gości. Więc ściany popękają niezawodnie od przepełnienia, a ludzie od śmiechu. Bowiem program reduty arcydowcipnie ułożony wysuwa takich mistrzów, jak Feldman w roli kapelmistrza, Kwiatkiewicz jako dyrektor muzeum osobliwości, Deman jako dyrygent wiedeńskiej kapeli w knajpie, chóry, balet itp. Sam program estradowy ma kilkanaście wybornych punktów „do rozpuku“, a jeżeli do tego dodamy taką szaloną moc piekielnie pięknych i zawsze kuszących twarzyczek naszych artystek, a dalej gładziuteńką posadzkę do tańców i bajecznie przepełnione bufety i namioty, to łatwo zrozumieć, dlaczego nazwałem ten najjaśniejszy i najsympatyczniejszy wieczór tegorocznego karnawału — niebezpiecznym. Sprawozdanie z tej reduty otrzymacie w następnym liście, jeśli sam na reducie będę i jeśli nie pęknę.

Sensacyą tygodnia był proces kilku zdolnych młodzieńców, którzy mieli dokonać znanej kradzieży 20 000 kor. w Banku krajowym. Sprawa miała dla odmiany tło „polityczne“, bo od pewnego czasu niema w Galicyi żadnego zbrodniarza pospolitego, bo każdy zbrodniarz to albo waryat, albo polityk. Wszyscy oskarżeni byli „działaczami“ i pracowali pod fukającym sztandarem jenerała Fuka. Nie byli atoli oddani całą duszą swojemu naczelnikowi, bo o zdobytych pieniądzach jenerał Fuk nie miał podobno żadnej wiadomości. Inaczej byłby niezawodnie wcielił gotówkę do kasy wojennej i kupił kilka flobertów i pistoletów na wrogów.

Tymczasem sam jenerał nie wiedział o niczem, za co go sędzia śledczy wypuścił z jassyru. Do chwili, kiedy piszę niniejszy list, nie ma jeszcze wyroku, którego spodziewają się dziś lub jutro. Koła „polityczne“ naszego miasta czekają na ten wyrok z bijącem sercem.

Niemałą sensacyę wywołały tu relacye dzienników, że minister Dzieduszycki odwiedził we Wiedniu bawiącego przewódcę syonistów lwowskich, p. Adolfa Standa, w hotelu i nie mu przyrzec dla syonistów pięć mandatów.

Okoliczność, że p. Stand kandydował w ubiegłym roku na posła i miał pewne szanse powodzenia, nie wsławiła go tyle, ile obecna wiadomość o wizycie ministra, złożonej p. Standowi w hotelu. Ludzie, którzy go nie znali, zdejmowali przed nim czapki. Do partyi chcieli przystąpić nowi ludzie. Najwięcej zdziwiła ta wiadomość samego p. Standa, to też natychmiast sprostował ją w dziennikach. Niemniej zdziwił się minister hr. Dzieduszycki, który także przysłał sprostowanie. Rzecz bowiem miała się przeciwnie, nie minister przyszedł do p. Standa, ale p. Stand przyszedł do ministra. Podobno z powodu zepsutej linii telefonicznej wiadomość przewróciła się do góry nogami. I ludzie obcy przestali przed p. Standem zdejmować czapki a nowi ludzie wobec tego nie wstąpili do partyi syońskiej.

Sensacyą teatralną po przepysznej „Pani Dulskiej“, która podobała się nawet... samym kołtunom (bo żaden kołtun, nie uważa siebie za kołtuna i myśli, że tam o kim innym mowa), a więc ostatnią sensacyą jest „Pan Tadeusz“ J. J. Wydżgi, opera, która w tym tygodniu na scenie naszej odniosła wielki sukces. Wystawa była bajeczna, ansambl doskonały, a muzykę chwalą bardzo recenzenci wszystkich pism, podnosząc w niej pierwszorzędne zalety kompozytorskie. Ma też istotnie bardzo piękne miejsca i słucha się mile, zwłaszcza, że opiera się na motywach swojskich. O tej nowości operowej napiszę zresztą w następnym liście, w którym wspomnę i o wykonawcach.

Taksamo odłożyć muszę z braku miejsca i inne sensacye teatralne, a nawet i polityczne, które „ex re“ nowych wyborów według reformy wyborczej zaczynają wywoływać różne partye i partyjki polityczne z barwą lub bez barwy. Sensacyjnie zapowiadało się ustąpienie prezesa Tow. dziennikarzy polskich Krechowieckiego z prezesury, który to fakt rozmaicie komentowano, każdy na swój sposób, lecz „ad hoc“ zwołane zgromadzenie nie przyjęło tej rezygnacyi i w liście wystosowanym do prezesa wyrazilo mu żądaną owacyę, prosząc o zatrzymanie urzędu.

Zatrzymał...

Klewe.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych
5. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

Był to człowiek nie młody, a że nie miał własnej rodziny, dalsi krewni czyhali już od dawna na jego majątek. Dowiedziawszy się teraz o jego zamiarach, takie silne uczynili zabiegi, aby przeszkodzić małżeństwu z Eleną, że wreszcie wyjednali sądową kuratelę nad swoim krewniakiem. Tym sposobem Elena nie została żoną milionera, ale innego znalazła opiekuna. Zajął się nią markiz Feydeau, znany w Paryżu opiekun teatrów spędzający całe życie za kulisami. Poznawszy przypadkowo Elenę, powziął myśl, aby ją na baletnicę wykształcić, bo tyle było w niej wdzięku, taka układność, że istotnie niezwykłym była dla baletu materyałem. W bardzo krótkim czasie została też zaangażowana i od razu zyskała sobie powodzenie.

Istotnie czarowała pięknością i wdziękiem. Czy na scenie, czy gdziekolwiek w mieście się pokazała, wszystkich mężczyzn oczy zwracały się na nią. Pojęła prędko potęgę swojej piękności i umiała z niej korzystać. Podbijała serca najbogatszej młodzieży; nietylko kwiaty, ale złoto sypało się u jej nóg, i teraz była bogatą, coraz bogatszą z dniem każdym. Używała dostatku, rozkoszowała się w przepychu, ale umiała też odkładać tyle, że urastał z tego kroclowy majątek. Była u szczytu swych marzeń, miała już bogactwa. W banku paryskim złożyła znaczny kapitał...

Te marzenia o przeszłości przerwało wejście służącej.

— Hrabia Alfons w salonie — rzekła służąca.

Elena zbladła i zadrżała.

— Zaraz przyjdę — odpowiedziała, siląc się widocznie na spokój.

W salonie czekał młody mężczyzna, wykwintnie ubrany. Z postawy wyglądał na wojskowego. Twarz jego miała wyraz energii, ale przyćmionej już znużeniem, jakiego doznawać zwykli ci młodzi ludzie, którzy nadużywają życia. Piękny był i okazały w całem tego słowa znaczeniu, a zwłaszcza z oczu jego biły płomieniste namiętności, tak łatwo rozpalające serca kobiece. I Elena uległa czarowi jego spojrzenia. Dotychczas przyjmowała hołdy wielbicieli zimno i z wyrachowaniem, dopiero pierwszy hrabia Alfons rozniecił w niej uczucie namiętnej, a więc niewolniczej miłości.

Gdy weszła do salonu przywitał się z nią najtkliwiej i najpoufalej, a ona usuwała się z lekka z jego objęcia.

— Dlaczego dzisiaj tak jesteś nie łaskawa Eleno?

— Niespokojna jestem, chwilami przejmuje mnie straszne uczucie, — mówiła Elena, nie podnosząc oczu na hrabiego, jakby zapatrzona w jakiś punkt daleki.

— Panuj nad sobą najdroższa moja. Bądź spokojna. Nic nam nie zagraża.

— A jednak czegoś się niepokoję. Gdyby nas odkryto?...

— To niemożliwe. Wykonaliśmy wszystko tak przezornie, tak zatarliśmy wszelkie ślady, że najzręczniejsza policya niczego nie dociecze. A zresztą, któżby się ośmielił w hrabii Alfonsie de Montegretto upatrywać mordercę z Salita Santa Nicola.

Elena zardżała i złożywszy ręce wyszeptała błagalnym głosem:

— Ach — nie wymawiaj tej strasznej nazwy, nie przypominaj tego co się stało.

— Czy zapomniałaś już przysięgi? Przysięgłaś przecież, że się pomścisz nad tym nędznikiem, który cię unieszczęśliwił, który cię dręczył codzienną torturą, który się znęcał nad tobą, który tyle łez twoich wycisnął. On życie twoje złamał. Zresztą to co się stało — stać się musiało. Przecież był on przeszkodą do naszego szczęścia. Czy mogłabyś zostać hrabiną di Montegretto, gdybyśmy byli nie usunęli tej przeszkody? Eleno — pomyśl tylko jakie szczęście nas czeka. Z miłością naszą musieliśmy się taić, ukrywać, a teraz wystąpimy z nią jawnie przed światem i nic nam już nie przeszkadza należeć wzajem do siebie.

Ujął jej kibić, przycisnął do serca, gorąco w usta pocałował i Elena zwisła na jego ramieniu, szeptając:

— Kocham cię Alfonsie!

— O, tak! teraz jestem zadowolony i szczęśliwy. Czy pozwolisz abyśmy wieczór razem spędzili?

— Przyjdź, przyjdź mój drogi. Przy tobie uspokoję się zupełnie. W samotności dręczyłaby mnie mara, ta straszna mara..

— Nie wspominaj, nie wspominaj Eleno — do widzenia aniele mój, szczęście moje. Do widzenia pani hrabino di Montegretto.

Hrabia Alfons wybiegł z salonu, a Elena spoglądała za nim rozpromieniona.

V.

Nowe szczegóły.

Do prefektury policyi zgłosił się Edmund Fleury, pierwszy buchalter lombardzkiego banku i żądał aby go zaprowadzono do radcy policyjnego pana Rossi. Przybywszy tam, złożył następujące oświadczenie:

— Dzisiejsze dzienniki poranne podały illustracyę owej spinki, którą na miejscu mordu w Salita Santa Nicola znaleziono. Jest tam wizerunek dziewczynki, którą kilka razy przed dwoma laty widziałem. Byłem wówczas w Paryżu, w filji naszego banku. Stosunki pozwalały mi bywać często w różnych teatrach i w jednym z nich widziałem baletnicę niezwykłej piękności. Słynęła w całym Paryżu, więc też powszechną na siebie zwracała uwagę. Występowała pod nazwiskiem „Sepita“. W towarzystwie tej baletniczy widywałem prześliczną dziewczynkę, tę właśnie, której wizerunek znajduje się na spince. Mogę zapewnić, że się nie mylę.

— Zatem pan twierdzi stanowczo, że owa miniatura na spince, jest portretem znanej panu z Paryża dziewczynki?

— Jestem pewien, że się nie mylę.

— Nie myślę panu przeczyć, lecz zwracam uwagę, że bywają często łudzące podobieństwa i o tem zawsze pamiętać należy, aby nie wysnuwać mylnych przypuszczeń, albo co gorsza i bezpodstawnych podejrzeń.

— Ja spełniłem co mi nakazywał obowiązek, a panowie niech czynią co zechcą.

Radca Rossi podziękował bardzo uprzejmie buchalterowi, ale widocznem było ze wszystkiego, że to zeznanie brał sobie dość lekko. I po części niema się czemu dziwić, bo zwykle, wskutek takich nadzwyczajnych wydarzeń, jak morderstwo w Salita Santa Nicola, policya bywa zasypywana różnemi doniesieniami, które są najczęściej wybrykiem fantazyi. Bywają to zwykle pomysły, lub domysły rozgorączkowanych wydarzeniem osób. dla śledztwa stające się niepotrzebnym balastem Radca Rossi zaliczył i zeznanie buchaltera do rzędu fantastycznych urojeń, jednakowoż zakomunikował je Aleksandrowiczowi. Ten słynny ajent widać większą przywiązywał do tego wagę bo słuchał opowiadania ciekawie i skrzętnie sobie zapisał adres buchaltera.

— Czy pan sądzi, że to panu może się na co przydać?

— Tego z góry powiedzieć nie mogę, ale zeznanie bardzo ciekawe, zwłaszcza, iż nabieram najsilniejszego przekonania, iż zbrodniarza w lepszych sferach szukać potrzeba

— Tylko ostrożnie panie Aleksandrowicz, bo to rzecz bardzo drażliwa. Najmniejsza pomyłka może nas skompromitować i zniechęcić cudzoziemców do Genui. Tutaj trzeba iść na upatrzonego.

VI.

Przygotowania do ucieczki.

Hrabia Alfons spędził wieczór z Eleną, a nazajutrz rano zasiedli razem do śniadania. Udało się hrabiemu uspokoić Elenę, a przynajmniej zatrzeć po części przerażające ją wspomnienia.

W pieszczotach i marzeniu o szczęśliwej przyszłości spędzili godzin kilka, ale już dnia następnego zaczęły się pokazywać niepokojące chmurki, mącące ich spokój. Hrabia Alfons przyszedł dnia następnego do Eleny wcześniej niż zwykle, widocznie zakłopotany, chociaż zrazu silił się na spokój. Elena poznała, że się wydarzyło coś niezwykłego i zaraz na wstępie oddaliła pod jakimś pozorem służbę, aby mogli pozostać sami.

— Powiedz zaraz co się wydarzyło? — rzekła przerażona.

— Ależ nie przestraszaj się, niema jeszcze nic złego. Do tej chwili nic nam nie zagraża — mówił hrabia Alfons.

— A — jednak jesteś jakiś niespokojny, czytam w twoich oczach, że coś ukrywasz.

— Nie tyle niespokojny jestem, ile gniewam się na samego siebie. Wyobraź sobie, jak mi to było nieprzyjemnie, gdy spostrzegłem brak spinki. Wiesz, owej z miniaturą córeczki. Darowałaś mi te spinki jako cenną pamiątkę, ceniłem je też bardzo i dlatego też prawie się nie rozstawałem z nimi. Jedna z nich wyrwała mi się widać z mankieta w Santa Salita, bo ją policya tam znalazła. Otóż to niemiłe, bo tworzy jaki taki ślad, za którym przebiegli ajenci mogliby dotrzeć do źródła.

— Cóż teraz czynić?

— Na razie nic zupełnie, ale trzeba się mieć na baczności. Spinka mogłaby nas zdradzić, gdyby wyszukano jubilera, który ją zrobił.

— Zdaje mi się że wyszukać go trudno — rzekła Elena — bo wiem dobrze, że zwinął swój zakład i przeniósł się do Hollandyi.

— To bardzo dla nas szczęśliwie, ale są inne rzeczy i to o wiele gorsze. W jednym z dzienników dzisiejszych przeczytałem rozmowę reportera ze słynnym ajentem Aleksandrowiczem Nie głupi to człowiek, zna się na swojem rzemiośle. Zapewnił reportera, że sprawcy tego co się stało w Santa Salita Nicola, szukać trzeba nie w łotrowskich norach, ale w salonach Istotnie — nie głupi człowiek. To jest niedobre. Trzeba będzie pojechać do Paryża czemprędzej i pod jakimkolwiek pozorem uciąć loki dziewczątku i taką jej dać fryzurę, żeby się przez to twarz odmieniła.

— Możeby nam trzeba natychmiast wyjeżdżać?

— Ee toby było najgorsze; dopieroby wtedy podejrzenie na nas się zwróciło. Przeciwnie; powinniśmy śmiało pokazywać się ludziom, świata nie unikać.

— A przecież bardzo się lękam; radabym w jednej chwili uciekać stąd daleko i przed ludźmi i przed wspomnieniami i przed obawą o przyszłość. Wiesz co mój drogi? uciekajmy do twoich dóbr.

Gdyby Elena nie była tak bardzo rozdrażnioną i roztargnioną, byłaby niezawodnie dostrzegła dziwny wyraz twarzy hrabiego Alfonsa Na wzmiankę o swoich dobrach drgnął, jak ktoś znienacka jakiemś wrażeniem zaskoczony. Na ustach wykroił się krótki sarkastyczny uśmiech, a do ocz trysnęły promyki kociego fałszu.

— Do moich dóbr powiadasz? Tak, tak, to byłoby nie źle, no, ale tam nie ma jeszcze miejsca, bo pałac kazałem przebudować, wszystko jeszcze w zaniedbaniu Dopiero gdy rezydencya będzie urządzona, wprowadzę tam panią mojego serca. Zresztą to zadaleko, nam nie wypada usuwać się tak nagle ani z Włoch, ani z Francyi. Ja mam inny plan. Ato — wyjedziemy pod pozorem że nam się Genua sprzykrzyła, ale nie zaraz Możemy rozpocząć już przygotowania do wyjazdu. Zaczniesz zwijać dom, urządzenie domowe sprzedasz, służbę oddalisz, a w banku dasz polecenie, aby ci od deponowanego kapitału przysyłano procenta według adresu, który każdym razem podasz Nawet trzeba, abyś zaraz jutro, a choćby i dzisiaj pojawiła się w banku. Wiesz co mi się nasunęło na myśl? Mogłoby się zdarzyć, że sama nie zdołałabyś przybyć do Genuy po kapitał, więc wydaj polecenie, żeby go okazicielowi kwitu depozytowego wręczono.

— Jakiś ty dobry, jak o wszystkiem myślisz, jak wszystko przewidujesz. Niezmiernie ci jestem za to wdzięczna.

— Ależ to przecie obowiązek, no i największa dla mnie przyjemność.

* * *

Nazajutrz udała się Elena do banku Zaledwie wysiadła z powozu, zbliżył się do niej starszy mężczyzna i przywitał z przyjacielskim uśmiechem.

— Przecież udało mi się szczęśliwie przywitać się z panią.

— O, pan Aubertin! Dawno nie widzieliśmy się — rzekła Elena przyjaźnie, podając mu rękę.

— Ja widziałem panią już kilka razy w Genui, ale przejeżdżała pani zawsze w powozie z jakimś mężczyzną, i nawet nie spostrzegłaś mego ukłonu.

— Bardzo żałuję i przepraszam. Pan dawno z Paryża

— Jestem tu od kilku tygodni. Zakładam filię mojego banku, dla ułatwienia interesów handlowych moim klientom, którzy się zajmują na wielką skalę wywozem oliwy.

— Zawsze pan czynny, zawsze obrotny; wiek pańskiej energii nie zmiejsza.

— Uwagę o energii przyjmuję z wdzięcznością, o wieku moim nie chciałbym słyszeć ujemnego zdania z ust pani.

— Czyż moje zdanie może mieć tak wielką wagę dla pana?

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASZYJNIK MISS ADY

2 NOWELKA.

Jak zazdroszczono mu, gdy posażna jedynaczka wyciągnęła ku niemu rączkę ze swobodnym uśmiechem, który chwilowo rozjaśnił jej twarz o lodowatym wyrazie! Przez chwilę lornetowano to interesujące „trio“, lecz następnie mała orkiestra, zagrawszy „intermezzo“ z „Rycerskości wieśniaczej“, odwróciła odeń powszechną uwagę.

Właśnie pełna uczucia pianistka doszła do najwięcej czułego i melodyjnego punktu „intermezza“, gdy cichy, lecz wyraźny szum mimowolnie zwrócił oczy wszystkich obecnych ku sufitowi, skąd przez sześciokątny otwór zaczęła się spuszczać winda, którą można było dostać się z górnych piąter hotelu wprost do zimowego ogrodu. Dopiero w połowie sali znajdowała się winda, gdy chłopiec ją obsługujący, rozsunął drzwi szklanne, poczem ujrzano obok niego bardzo eleganckiego, młodego człowieka. Wyprostowany, w świetnie skrojonym fraku, z kwiatem gardenii w dziurce od klapy, z niewielkim czarnym wąsikiem, który, podobnie jak włosy, miał bez zarzutu ufryzowany, z monoklem w oku, z prawą ręką, spoczywającą z lekka na wycięciu kamizelki, a trzymając pod lewem ramieniem szapoklak — ukazał się na tle czerwonego obicia windy, niby nowożytny Adonis w eleganckiem etui.

Znów przyłożono do oczów lornetki, znów skupiły się pojedyńcze rozmowy.

Nowoprzybyły nie mógł wybrać lepszej chwili, celem pokazania się w tem doborowem towarzystwie. Upajające westchnienia melodyi Mascagni'ego podniosły teatralny efekt ukazania się nieznajomego w zimowym ogrodzie.

Gdy nowo przybyły stanął na posadzce, podszedł ku niemu jakiś starszy jegomość, przesadnie wyelegantowany i powitał z oznakami głębokiego uszanowania. Zamienili uścisk dłoni, poczem starszy podprowadził go wprost ku miejscu, gdzie siedział amerykański miliarder ze swą córką.

— Bez zarzutu! — zauważyła gwiazda z bulwarowego teatru.

— „Charrmant!“ — twierdziły Rosyanki, wkładając dwa „r“ do tego słowa.

Wszystkie panny na sali przybrały odpowiednie pozy, niektóre zarumieniły się nawet.

— Kto to jest?

— Niewiadomo. Portyer tytułuje go „baronem“. Jego towarzysza nazywają „hrabią“. Jednakże chodzą wieści, że młodszy podróżuje „incognito“ i że jest podobno jednym z pretendentów do francuskiego tronu, a hrabia to jego adjutant.

Tak szeptało między sobą kilka najmłodszych panienek w głębi sali.

— Czy pan zna tych panów? — zapytała także miss Ada belgijskiego szambelana, a jej stalowoniebieskie oczy spoczęły przez chwilę na postaciach obu przybyszów.

— Wczoraj właśnie poznałem się z nim w salonie gry — odparł szambelan. — Przybyli oni tu przed trzema dniami. Są to dwaj Francuzi, należący do wysokiej arystokracyi, a wracają właśnie z trzechletniej podróży dookoła świata...

— Zachować tak jasną cerę podczas podróży dookoła świata umieją tylko Francuzi — przerwał Screw, na wszystko zwracający baczną uwagę. — Jak nazywają się ci panowie? — pytał dalej.

— Młodszy, to baron Hamard, starszy, nazywa się Le Vaillant de la Tourelle. Są to ludzie bardzo dystyngowani.

— Tymczasem miss Ada z iście amerykańskim „Sans façon“ obserwowała eleganckich panów i nagle zwróciła się do szambelana ze słowami:

— Ten młodszy, pański znajomy musi być doskonałym danserem. Widać to po jego ruchach. A ponieważ na reunionie może mi braknąć dobrego tancerza — nie porobiliśmy dotąd znajomości tutaj — proszę zatem, bądź pan łaskaw przedstawić nam tych panów.

Stary Screw nie rzekł ani słowa, znał bowiem humory swojej Ady. Szambelan przyrzekł z całą gotowością tych panów w dyskretny sposób przedstawić i w tym celu zwolna zaczął obchodzić salę.

Hrabia i baron siedzieli z elegancką niedbałością, z nogami jedna na drugą założonemi, wywołując przez lekkie poruszenie stóp ładne refleksy świetlane na lakierkach.

Gdy belgijski szambelan stanął niespodziewanie za nimi, zabawiali się właśnie półgłosem prowadzoną rozmową. Usłyszał on tylko słowa barona:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody

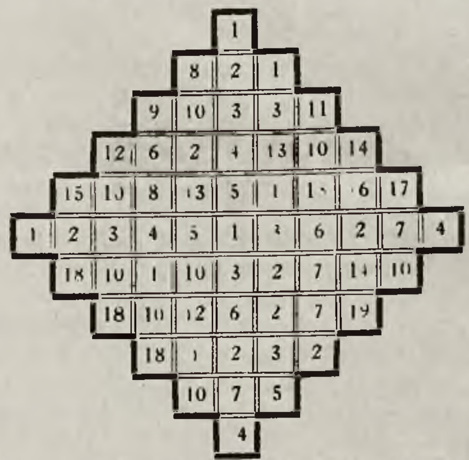
Szarada.

(Ułożyła Koliba, Zakopane).

Pierwsza-druga w górskich strefach
Tam gdzie nasze Tatry cudne —
Druga-czwarta w miejskich sklepach;
Trzecia, miasto, małe, brudne,
Lecz historya je wsławiła.
Całość bronią dawniej była —
Dziś muzeów zdobi ściany,
Sprzęt zbyteczny, zapomniany!

Arytmogryf

Ułożył Alfred Rotter.



Cyfry zastąpić literami w ten sposób, by litery w środkowych kwadratach czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły tytuł jednego z dramatów Ibsena.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Środek leczniczy. 3. Miasto w Rumunii, 4. Szczyt w Beskidzie wschodnim w okolicy Czarnohory, 5. Miejsce wycieczkowe w okolicy Krakowa. 6. ? 7. Inaczej słońcochroń. 8. Młody chłopak (staropolska nazwa, 9. Gatunek zboża. 10. Gatunek piwa. 11. Spółgłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, zagadek przeznaczamy »Obrona Sztandaru« powieść Ludwika Stasiaka.

Rozwiązanie zagadek z Nru 1.

Szarady.

I. Moderato. II. Synekura. III. Kołomyja.

Logogryf

Gabryela Zapolska.

Arytmogryf

Strajk dzieci polskich.

Logogryf.

Racławice, Chocim, Raszyn, Jasna Góra.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

Szarady.

I. Choinka. II. Celina. III. Piast.

Kryptogryf.

Gabryela Zapolska — Przedpiekle.

Łamigłówka.

Anatol Krzyżanowski.

Zagadka.

Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło.

Arytmogryf.

Izadora Duncan.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Dr. Kasparek Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, E Bogdalska Koropuż, Jan Czechowicz Mikołajów, J. Badura Rożdzeń, K. Ludwig Borysław, K. Pożakowski Szczakowa, J. Haładej Górki, Fr. Kośmider i M. Chochorowska Nowy Sącz. M. Pfeiffer Lwów, T. Domain Kołomyja, M. Małaczyński Pikulowice, T. Mendys Tarnobrzeg, Helena Zielińska Manajów, Zofia Ciechanowska Stary Sambor, Wł. Dziewińska Kraków, Marya Świtlikowa Rzeszów, K. Jurkiewicz Tłumacz A. Pukalski Andrychów, H. Zwilling Tarnów, S. Michałowska Szkło; St. Łaszkiewicz Dębica, J. Bazylewicz Jaktorów, M. Grabowska Milówska, Tow. »Zgoda« Krosno, Fr. Niepokój Krosno St. Gajdeczka Sieniawa, K. Fuchs Czeremchów. M. Modelska Kraków, F. Kupferberg Drohobycz, A. Rotter Stanisławów, Dr. Warmski Turka, K. Jasiński Kraków, A. Surowiecki Kraków, Halina Doening Schodnica.

Od Redakcyi.

P. Switlikowa w Rzeszowie: Od następnego numeru rozpoczniemy dawać już stale całe znaczenia w rozwiązaniach. Dotychczas z braku miejsca nie mogliśmy.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).